

Aleksander Żyga

BIESZCZADY - w dziewiętnastowiecznej poezji

W turystyce dzisiejszej i dawniejszej niedocenioną należą rolę spełnia i spełniała literatura piękna, a w szczególności poezja. Konkretnych na to twierdzenie dowodów nie trzeba chyba przytaczać, gdyż są zbyt liczne. Ogólnikowe na ten temat rozważania ograniczają się tu tylko do wąskich ram dzisiejszej Rzeszowszczyzny. Kogo na przykład zainteresowałyby Dubiecko, gdyby swym urodzeniem nie rozślawił go książę poetów Stanisławowski i autor „Monachomachii”, Ignacy Krasicki; ktoś zwróciłby uwagę na Sieniawę, gdyby w niej nie zamieszkiwali przez jakiś czas księstwo Czartoryscy; kto wspomniaby o Bóbrce sanockiej, gdyby w niej nie gospodarzył i nie pisał swych komedii autor „Pana Damazego”. Lek tura wierszy, poematów, powieści i pamiętników o atrakcyjnych pod względem turystycznym i historycznym miejscowościach i pamiątkach dziejowych były tymi czynnikami, które wbiły w dumę nie tylko mieszkańców owych miejscowości, ale przyciągały i popularizowały je wśród turystów i przybyszów. Odrzyńską na przykład zawdzięcza swoją sławę obok walorów turystyczno-historycznych m. in. „Królówi zamczyska” Seweryna Goszczyńskiego, dziwna skała w okolicach Leska, „Kamieniowi nad Leskiem” znakomitego komediopisarza Aleksandra Fredry, uroczą Skała w okolicy Dubiecka „Podróż z Dubiecka na Skałę” Franciszka Karpińskiego, Iwoniczka Białka zyskała popularność dzięki wierszowi pod tym tytułem Wincentego Pola.

Za pomocą literatury, poezji, malarstwa i grafiki dokonano odkrycia polskich Tatr i spopularyzowano je nie tylko wśród społeczeństwa polskiego, ale i wśród turystów zagranicznych. Podobnie rzecz się miała — choć na wiele mniejszą skalę — z Bieszczadami. Podobnie jak na Tatry, tak na urysek pejzażu bieszczadzkiego pierwsi zwrócili uwagę i utrwalili ich najpiękniejsze widoki artyści zagraniczni; w ślady ich poszli dopiero poeci i graficy polscy.

Zasobnej łościowo i artystycznej poezji tatrzańskiej można przeciwstawić zaledwie kilka tomików zapomnianych polskich 19-wiecznych poetów i wierszopisów, w których znaleźć można nieco wierszy o Bieszczadach. Autorami ich są bądź to przybysze z innych, przeważnie niższych i równinnych prowincji, którzy silnie reagowali na krajobraz górski, bądź to autochtoni, dla których te strony stanowią ich miejsce urodzenia.

W ramach pobieżnych uwag o poezji bieszczadzkiej główny akcent położę na elementy krajoznawcze tej poezji, poza zasięgiem rozważań zostawiając wiersze o ruinach historycznych zamków czy związanych z tymi ziemiami działalnością postaci historycznych, przechowywanych częstokroć w legendzie, podaniu i pieśni ludowej; każdemu z tych ostatnich trzeba by poświęcić osobny artykuł. Dalej: przykładowa „prezentacja” poezji bieszczadzkiej dotyczyć będzie tylko wieku dziewiętnastego, co nie znaczy, aby przedtem nie pisano wierszy o Bieszczadach.

Nazwa ta swoim zakresem geograficznym obejmowała nie tylko dzisiejsze Bieszczady, ale odnosiła się w ogóle do łańcucha Karpat począwszy od dzisiejszych Bieszczadów po Krynicę. Tak lud zamieszkujący te góry, jak i poeci posługiwali się nią wymiennie z nazwą Beskidu. Najdawniejsze ślady tego użycia dadzą się odnaleźć w poezji Wacława Potockiego, który okoliczne góry nazywał Bieszczadem. Dla uniknięcia nieporozumień i z powodu owej niesprecyzowanej historycznie i nie określonej geograficznie nazwy terminem Bieszczady będziemy się tu posługiwać w sensie gór na terenie dzisiejszej Rzeszowszczyzny.

Pominąwszy rzadkie w XVII i w XVIII wieku próby sięgania w poezji polskiej do tematu bieszczadzkiego, za ojca właściwej poezji Bieszczadów uznać należy autora „Pieśni o ziemi naszej”, Wincentego Pola. Kilkuletni jego pobyt w Kalnicy na dzierżawie Ksawerego Krasickiego, liczne wycieczki w Bieszczady, naukowe i krajoznawcze, pozwoliły mu na dokładne zwiędzenie tego zakątka kraju i uwiecznienie go w geograficzno-pejzażowej poezji. Znany utwór poety pt. „Do zielonego Beskidu”, powstał pod wpływem spędzonych w młodości w Bieszczadach chwil, mimo zawartego w tytule „Beskidu” odnosi się do Bieszczadów.

Bieszczadzkie wiersze W. Pola, w których uwiecznił on niejedną górę nad Sanem i Wisłokiem, łączy się, podobnie jak i wiersze jego kontynuatorów w tym zakresie, z poezją uroczych brzegów Sanu, który przerywa Bieszczady. Zanim przejdzie się jednak do bieszczadzskich utworów stylizatorów i naśladowców W. Pola tak pod względem tematyki, wersyfikacji, metryki jak i konwencji poetyckich, chciałoby się wspomnieć nazwisko nieznanego wierszopisa galicyjskiego i heraldyka, potomka sławnej rodziny Krasickich z Dubiecka, Aleksandra Krasickiego, w którego nielicznych utworach poetyckich znajdujemy jeden poświęcony Bieszczadom, a mianowicie pt. „Na Sobniu” (1855). Tę pejzaż i okolice Leska posłużyło jego autorowi za kanwę do częstej w tego typu literatury refleksji, tym razem historyzoficznej.

Dla A. Krasickiego, autora także pięknego wiersza pt. „Co to jest ojczyzna”, Bieszczady stanowią m. in. symbol jego ojczyzny:

*Co to jest ojczyzna? orzeł srebrnopióry,
Co nad polonin unosi się szczyty,
Jesiennym słońcem ubarwione barwy,
Rozkoszne knieje i mroczne granity!*

Wyrażone w „Na Sobniu” pojęcie ojczyzny implikuje w sobie niewątpliwie ślady dawnej etymologii, samozachowawczej jeszcze wśród ludu w znaczeniu ojczyzny jako ojcowizny.

Kontynuatorem zapoczątkowanej przez Wincentego Pola poezji Bieszczadów był jego przyjaciel z czasów młodości i autor licznych poświęconych mu wierszy, również nieznanymi wierszopis galicyjski, Januariusz Poźniak. W wydanym do-

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Po VIII Plenum

SPOŁECZNY KSZTAŁT KULTURY

Potrzeba i dobrodziejstwo upowszechniania kultury są oczywiste i bezdyskusyjne. Ale oczywiście i bezdyskusyjne jedynie wówczas, gdy mówimy o upowszechnianiu rozumianym jako stworzenie całemu narodowi możliwości korzystania ze wszystkich skarbów kultury. I gdy mówimy o kulturze pojmowanej ogólnie — jako suma wartości stworzonych ludzkim talentem, wiedzą i sercem. Tłumaczenie spraw upowszechniania kultury na język konkretnych wywołu natychmiast — potrzebne i wartościowe, ale przecież uzmysławiające złożoność i brak jednoznacznych rozwiązań — dyskusje, wątpliwości, znaki zapytania.

Nie kwestia gustu

Weźmy choćby dla przykładu sprawę tak, wydawałoby się, prostą, jak potrzeba rozbudowy sieci i programu telewizyjnego. W czasach, w których żyjemy, telewizja jest najpotężniejszym i najskuteczniejszym środkiem upowszechniania kultury. Ale oczywiście nie jedynym. Czy — słyszy się wątpliwości — koncentracja nakładów inwestycyjnych i wysiłków instytucji odpowiedzialnych za rozwój kultury na telewizji nie hamuje rozwoju innych form kulturalnego oddziaływania? Czy (padają nawet i takie pytania) rozwój telewizji wręcz nie szkodzi prawdziwemu upowszechnieniu kultury, dając namiastkę teatru, kina, książki, namiastkę zaspokajającą często potrzebę rzeczywistych kulturalnych przeżyć?

Problemem jeszcze bardziej złożonym i dyskusyjnym jest kwestia jakości i wachlarza wartości kulturalnych, które chcemy upowszechniać. Klasyczną niemal ilustracją rozbieżności w tej dziedzinie mogą być kłopoty Polskiego Radia z ustaleniem proporcji muzyki „lekkiej” i „ważnej” w programie radiowym, kłopoty wynikające zresztą z naturalnej różnorodności gustów słuchaczy. Ale sprawa jakości i treści upowszechnianej w Polsce kultury, sprawa kształtowania naszego modelu społeczno-kulturalnego, wykracza daleko poza „kwestię gustu”. Łączy się z problemami obyczajowymi, wychowawczymi, politycznymi, ideowymi wreszcie.

Tym trudniej ściśle określić i zaszeregować złożone przeciwzjawiska i wydarzenia kulturalne. Tym trudniej sformułować konkretny i jednoznaczny program rozwoju i popularyzacji różnych dziedzin twórczości. Tym żywsze są dyskusje i różnice zdań wobec różnych przeja-

wów kulturalnego życia, że wspomniemy tu choćby dyskusje w sprawie polskiego filmu, w sprawie polskiej piosenki czy mniej publiczne, a równie ostre różnice zdań w sprawie polityki przekładowej.

Dla bujnego rozwoju wszystkich dziedzin kulturalnego życia dyskusje i różnice zdań są nieodzownym czynnikiem i bodźcem. Tak jak swoboda poszukiwań jest nieodzownym czynnikiem postępu w każdej dziedzinie twórczości. Zjawiska kulturalne, tendencje twórcze nie dają się ująć w sztywne schematy planów i wytycznych.

A jednak nie tylko u nas i nie tylko w chwili obecnej odczuwa się potrzebę określenia w rozwoju kultury kierunku wzbogacania, nasycaenia pięknem i szlachetnością społecznego życia.

Marzenia i rzeczywistość

W marzeniach poprzednich pokoleń wydawało się, że wystarczy zlikwidować głód i nędzę, zapewnić powszechność oświaty, a ludzie powszechnie i smrotnie czerpać zaczynają ze skarbnicy kultury i wzbogacają ją, że postęp cywilizacji i dobrobyt kraju są równoznaczne z wysokim poziomem kulturalnym społeczeństwa. Okazało się tymczasem i okazuje coraz dobitniej, że materialny dobrobyt i techniczna nowoczesność życia nie idą automatycznie w parze z rozwojem kultury, lecz często łączy się z wynaturzeniami różnych dziedzin kulturalnej działalności, nie — jak moglibyśmy oczekiwać — upiększającej życie, uszlachetniającej człowieka, lecz odwrotnie: manifestującej bezsensowność, głoszącej ludzkie zło czy po prostu głupotę.

Mogliśmy się co prawda uspokoić: te zjawiska występują w wysoko uprzemysłowionych krajach kapitalistycznych, towarzyszą przekształcaniu spraw kultury w potężny przemysł rozrywki, wynikają z komercyjnego charakteru twórczości artystycznej, walczącej o rynek. I oczywiście — w krajach socjalistycznych, gdzie funkcję mecenasa sztuki pełnią nie ludzie interesu, lecz władze państwowe, którym nie jest obojętna wychowawcza treść kultury — nie ma miejsca na szerzenie pornografii czy pochwały zbrodni, a względy dochodowości różnych dziedzin kulturalnej twórczości nie są decydującym miernikiem jej oceny.

A przecież nie wystarczy takie uspokojenie. Nie żyjemy — mimo odrębności ustrojów — w izolacji od

świata kapitalistycznego. Sprzeciwiając się antyhumanistycznym treściom książek, filmów, dramatów, głoszących kult siły, brutalności, pogardy dla różnych narodów i ras, nie jesteśmy w stanie odciąć się od całokształtu zjawisk współczesnego życia kulturalnego na Zachodzie.

Żyjemy na jednej planecie

I zresztą nie mamy zamiaru. Rozwój kultury cechuje i musi cechować nieustanne poszukiwanie nowych form, nowych kierunków, nowych środków wyrazu. Rodzą się one z ludzkich talentów, a nie z wytycznych. Ich artakcyjności, a nawet wartości nie określa pochodzenie narodowe czy ustrojowe.

I choć wśród współczesnych zjawisk kulturalnych są takie, które odpychają niektórych czytelników, widzów, słuchaczy swą niezrozumiałością, hałaśliwością czy prawdziwą lub pozorną wewnętrzną pustką — nie ta, w gruncie rzeczy indywidualna, kwestia gustu stanowić może o kierunku rozwoju kultury w naszym kraju. Tym bardziej że główne niebezpieczeństwo wypaczeń w upowszechnieniu kultury leży nie, na przykład, w upodobaniu młodych ludzi do big-beatu czy w popularności kryminałów, lecz w traktowaniu rozrywkowej funkcji kultury jako jej funkcji jedynej. W lekceważeniu ideowych, wychowawczych, intelektualnych treści wszystkich dziedzin kultury, w traktowaniu spraw materialnego bytu, jako spraw decydujących w sposób wyłączny o szczęściu człowieka.

Atmosfera życia społecznego

I znów moglibyśmy się uspokoić. Fakt, że żyjemy w ustroju zespalającym wysiłki najszerzej mas dla wspólnego celu, dla tworzenia lepszego, bogatszego życia całego społeczeństwa, w pewnym sensie chroni przed egoizmem jednostek czy grup społecznych, pragnących budować własny dobrobyt krzywdą innych, chroni przed ostrą konkurencyjną walką, przekreślającą w dążeniu do do sukcesu ludzkie uczucia, wrażliwość, potrzebę wzruszenia. Ale chroni tylko w ogólnym sensie, a nie w konkretnych, wcale nie pojedynczych, wydarzeniach i zjawiskach. I zresztą egoizm, karierowiczostwo, przeroszt indywidualnych ambicji, dążenie do sukcesu będąc o sobie znaczący nawet w naszym ustroju.

Te wszystkie stwierdzenia i zastrzeżenia mają na celu zwrócenie uwagi na złożoność problemu, na konieczność traktowania na co dzień spraw kultury w ścisłej więzi z politycznymi, ideowymi, ekonomicznymi wreszcie problemami naszego życia.

Fakt, że działalność kulturalna w Polsce nie jest żywiołowa, że ideowo i politycznie kieruje nią partia, a organizacyjnie — państwo i organizacje społeczne, nie jest automatycznym zabezpieczeniem przed marazmem i wypaczeniami, i nie może takim zabezpieczeniem być ustalony „ogólnie” wykaz zakazów i postulatów.

Chodzi o coś więcej — o atmosferę życia społecznego. O aktywność szerokiej mas wobec problemów współczesności, o ideowe zaangażowanie w sprawach dnia codziennego i w sprawach węzłowych. Jednym słowem o to, co eliminuje z praktyki społecznego życia beznysność, obojętność, egoizm. Tylko to jest w stanie wyeliminować oskurantyzm, nietolerancję, zacietrzewienie wobec niezrozumiałych, a być może cennych, być może wartościowych zjawisk.

Od atmosfery życia społecznego bowiem zależy w ostatecznym rachunku kształt naszej kultury.

S. GRABOWSKA



Fot. Z. POSTEPIŃSKI

Połonina Caryńska

Jeszcze jeden sukces

„FAMA 67” to żadne magiczne słowo, lecz skrót Festiwalu Akademickiej Młodzieży Artystycznej, który niedawno odbył się w Swinoujściu. W festiwalu wzięły głównie udział teatry i kabarety studenckie z całej Polski. Odbył się również konkurs piosenkowski.

Rzeszowska śpiewająca studentka Wyższej Szkoły Pedagogicznej (w przenośni i dosłownie, bo uzyskała w terminie promocję na III rok filologii) Ania Żebrowska została zaproszona i na tę imprezę. Udział w festiwalu opolskim w zasadzie nie pozwolił jej przygotować się do uroczej, chociaż jeszcze o małym rozgłosie, imprezy artystycznej młodzieży. Jako karna studentka zaśpiewała jednak piosenki: „Jaki śmieszny jesteś pod oknem” Koniecznego do słów Fabera, „Otworzymy drzwi na miłość” Tadeusza Hejdy i Zbigniewa Biegańskiego oraz „Nie oglądam się za chłopakami” Sławińskiego i Osieckiej. Jak się okazało i ten występ przyniósł jej kolejny sukces. Wraz z Michałem Hochmannem z Lublina zainkasowała wyróżnienie.

I miejsce wyśpiewał Marek Gołębowski z Wrocławia, a w grupie teatrow studenckich I miejsce zdobył wrocławski „Kalambur”.

— Pani Aniu, jakie najbliższe plany?

— Przejdę wszystkim studia!

— Brawo! Dalszych sukcesów życzymy jednak w obu dziedzinach!

Julian Woźniak

Trzy komplety publiczności w sali widowiskowej Zakładowego Domu Kultury WSK w Mielcu, jeden w ZDK Huty „Stalowa Wola”, chórzy i personel mieleckiego szpitala oraz kilka tysięcy osób zgromadzonych w dniu 22 lipca za mieleckim Domem Kultury — obejrzało występy jugosłowiańskiego zespołu muzyczno - wokalnie - choreograficznego „Pajo Kolarić” z Osijek. Na żadnym z koncertów nie obeszło się bez bisów, serdecznych braw i kwiatów. Jugosłowiańscy artyści przyjeźdźcy byli niezwykle gorąco.

Przyjechali do Mielca na zaproszenie kierownictwa Zakładowego Domu Kultury, które mając pełne poparcie ze strony Komitetu Zakładowego PZPR, Rady Zakładowej i dyrekcji WSK wystąpiło z nową interesującą inicjatywą. Krótko można ją określić słowami „wymiana bezdewizowa”.

Nie ograniczy się ona zresztą do zespołów artystycznych. Przeprowadzono bowiem rozmowy na temat wymiany zespołów sportowych oraz czasowiczów. Nas jednak interesuje wymiana kulturalna, która przyobiekła się już w realne kształty.

Jugosłowianie przywieźli do Mielca niezwykle interesujący program. Na czoło wybił się zespół muzyczny o rzadko spotykanym zestawie instrumentów, w którym na pierwszy plan wysunęło ludowy instrument sławoński — tamburyne.

Stolica Sławoni — Osijek — ma bowiem bogate tradycje w upowszechnianiu tego instrumentu. To właśnie w Osijeku, stutysięcznym dziś mieście Jugosławii, kompozy-

tor Pajo Kolarić jeszcze w 1847 roku założył pierwszą kapelę tamburystów. Stąd działające właśnie w Osijeku Sławońskie Stowarzyszenie Tamburystów przybrało imię tego kompozytora i do dziś zajmu-

je się rozwijaniem i propagowaniem gry na tym ludowym instrumencie. Jest też inicjatorem i organizatorem festiwalu zespołów tamburynowych, w których uczestniczą liczne zespoły tego typu z

całego świata. O wysokiej randze artystycznej tej imprezy najwymowniej chyba świadczy fakt, że w br. patronat nad osiejckim festiwalem objął prezydent Jugosławii Józef Broz Tito.

Zespół Pajo Kolarić występował w kilku krajach Europy, otrzymał wiele dyplomów i wyróżnień, a m. in. nagrodę im. Bozidara Maslarica, która jest corocznie przyznawana najwybitniejszym twórcom w dziedzinie kultury i nauki.

Dopełnieniem zespołu jest chór żeński oraz grupa wokalnie - choreograficzna „Szokadija”, a kierownikiem muzycznym, kompozytorem kilku wykonywanych utworów oraz dyrygentem — utalentowany muzyk Julije Njikoš.

Z mieleckiej i stalowowolskiej estrady usłyszeliśmy więc szereg ludowych, jugosłowiańskich pieśni i melodii oraz zobaczyliśmy oryginalne sławońskie tańce. Zespół wykonywał je w przepięknych, barwnych, regionalnych strojach. Mielczanie więc okazje poznać sławoński region. Ponadto zespół „Pajo Kolarić” w swym programie uwzględnił liczne melodie rozrywkowe, łącznie z kompozycjami Theodorakisa; melodią znaną z filmu „Gpek Zorba” oraz „Cyganeria”, która została nagrodzona ubiegłego roku na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie. Usłyszeliśmy też nagrodzoną drugą premią na tegorocznym festiwalu Interwizji w Bratysławie piosenkę jugosłowiańską „Bokielsk-noc”.

Wobec tak dużej różnorodności repertuarowej koncert jugosłowiańskich artystów w pełni mógł zadowolić widzów. Każdy znalazł dla siebie coś interesującego w myśl popularnej zasady „dla każdego coś miłego”. Zwłaszcza ich program muzyczny ocenić należy bardzo wysoko. Idealny strój, świetne brzmienie i ciekawa interpretacja — oto zasadnicze walory zespołu tamburystów „Pajo Kolarić”.

Soliści: Verica Svoboda, Iwan Feher, Pero Kryžanović i Zdenko Dobek — to piosenkarze, którzy na swoim koncie mają liczne koncerty estradowe i telewizyjne oraz nagrane płyty. Nieco niższy poziom zaprezentował natomiast chór żeński, który śpiewał tak zwany „białymi głosami” oraz grupa choreograficzna.

Słowa uznania należą się również kierownictwu Zakładowego Domu Kultury WSK za nawiązanie współpracy z zespołem „Pajo Kolarić”. Pobyt gości z Osijek w Mielcu przyczynił się do zawiązania więzów przyjaźni pomiędzy członkami zespołu „Pajo Kolarić” i Zespołu Pieśni i Tańca „Rzeszowiacy” z Mielca.

Jugosłowiańscy goście nie kryli swojego zaskoczenia wysokim poziomem kultury w naszym kraju. Zachwyceni byli warunkami pracy, jakie nasze państwo ludowe stwarza zespołom artystycznym. Ogromne wrażenie zrobiły na nich domy kultury w Mielcu i Stalowej Woli. Jak zapewniali przy pożegnaniu — będą najlepszymi ambasadorami polskości w swoim kraju.

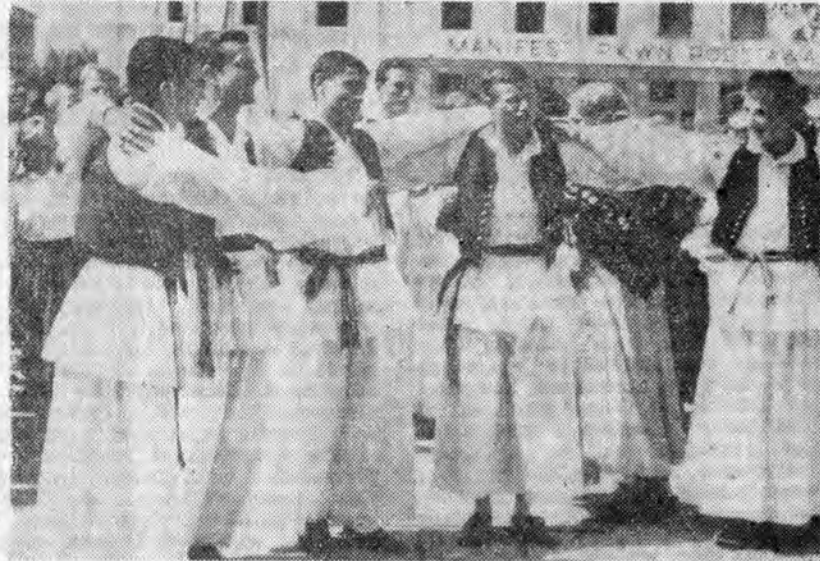
W ramach rewizyty we wrześniu br. do Jugosławii wyjeżdżają „Rzeszowiacy” z Mielca. Na jugosłowiańskich estradach zaprezentują przygotowania do tego wyjazdu. pieśni i tańców. Już obecnie trwają przygotowania do tego wyjazdu. Kierownictwo mieleckiego ZDK zamierza wystąpić „Rzeszowiaków” do Jugosławii z nowym programem... I tutaj uwaga bynajmniej nie na marginesie!

Do wyjazdu nie pozostało wiele czasu i już teraz dają się słyszeć słowa powątpiewania: „czy aby zdążymy na czas?” W dodatku sezon urlopowy nie stwarza chyba odpowiednich warunków do wyłączonej pracy, a wyjazd za granicę z programem nie sprawdzonym przed odbiorcami na kilku czy kilkunastu koncertach — to też niewątpliwie pewne ryzyko.

Dlatego warto się zastanowić, czy nie lepiej byłoby wydelegować do Osijek „Rzeszowiaków” z programem złożonym z numerów zwanych popularnie „pewniakami”, które już niejednokrotnie się sprawdziły, chociażby w ramach imprez Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych. Mam na myśli m. in. taniec tematyczny „praca maszyn”, wiązankę tańców rzeszowskich oraz krakowiaka.

A nowy program będzie jeszcze okazją zaprezentować jugosłowiańskiej publiczności. Wszak to dopiero początek bezdewizowej wymiany na osi Mielec — Osijek.

„Pajo Kolarić” w Mielcu



Zespół „Pajo Kolarić” tańczy przed Zakładowym Domem Kultury WSK w Mielcu.

Fot. M. KOWAL

Bieszczady — w dziewiętnastowiecznej poezji

(Ciąg dalszy ze str. 1)

piero w roku 1883 tomie pt. „Pieśni z lat młodych i pieśni starca”, stanowiącym niejako wierszowaną autobiografię większą ich część poświęconą jest: tematyce bieszczadzkiej i osnuta „na tle wspomnień wokół spędzonej w tych górach młodości, którą przeżył w ziemi sanockiej, uroczaj — jak powiada w przedmowie — krainie, gdzie rodzice jego posiadali własność ziemską. Wiersze Poźniaka, aczkolwiek nie odznaczają się wysoką wartością literacką, stanowią z jednej strony dowód popularności poezji geograficznej W. Pola i jej oddziaływania

na pomniejszych autorów, z drugiej są dokumentem odzwierciedlającym patrzeć ich autora na Bieszczady. Podobnie jak analogiczne tematycznie liryki jego mistrza cechuje je matematyczna i metryczna monotonia oraz powtarzalność konwencji poetyckich, wiele z nich datowane jest w Sanoku, Rzepedzi itp. To, co w nich najcenniejsze, to oddanie uroku pejzażu bieszczadzkiego poprzez pryzmat różnych okresów życia, pór roku, a nawet dnia. Im wiersz późniejszy, tym większa w nim doza bieszczadzkiego sentymentalizmu. Wspomina o tym sam autor w utworze „Czego serce bije”?

*Płynął, szumił wiek mój młody,
W sanockiej krainie,
Jak dąbrową Sanu wody,
Wiatr na poloninie,
Myśli moje z sokolami
W górę wlatywały,
Do chmur, co nad Beskicami
O niebie dumały.*

Pod niewątpliwym wpływem i powstał „Beskid”, Poźniaka, w którym oddziaływaniem wierszy W. Pola rym mowa jest o Bieszczadach:

*Hej! Beskidzie! Tyś bogaty:
W wonne zioła, w śliczne kwiaty;
Nad wyniosłym twoim czołem
Krąży orzeł ze sokolem,
U stóp twoich płynie San.
Masz cieniste gaje, lasy,
Poloniny pełne krasy,
Pola orne, sioła ludne,
I dąbrowy te przecudne,
Jakby możny polski pan.
Zywisz źródło świeżej wody,
Lud nawykły do swobody,
I dziewczoje czarnobrewne,
Jak turkawki pieścizotliwe,
I tę rzewną gminną pieśń
Zrosły jakąś siłą cudu,
Z tym poczciwym sercem ludu,
Co jak stary Wawel dumny,
I te w jego wnętrzu trumny,
Otulona w wieków pieśń...*

Analogiczną tematykę i apoteozę uroku pejzażu wiosennego w Bieszczadach jak i ich ludu widzimy także w „Poloninach”. W utworach Poźniaka, które pobrzmiewają niejednokrotnie nutą pieśni

*Słońce już wstało, zbudziło przyrodę,
Sen znikł, jak znika kamień rzucony w wodę;
A dąbrowy urok milutki,
Spoza jakby mgły zarzutki
Szerzy taki urok wokół,
Ze aż w duszy ci wesolo.
Uroczysty ptaszek śpiew
Rozlega się z krzewów, z drzew.
Beskid z zamrocza dźwiga się do góry,
A z jego ramion opadają chmury,
I gubią się niby mary*

*W ciemnych lasach, dymią jary,
A polonin pstre kobierce
To chwytają cię za serce,
Bo tak kropką rosy skrzę,
Jakby oczy rzewną łzą.
Echa ukryte pośród skał i lasów,
Nawoływaniom wtórują juhasów.
Z licznych koszar i szalasy
Ciągną trzody brodzień w paszy,
Bo traw i — ziela pod dostatkim
Na Beskidzie dziewy kwiatkiem
Siejącym dokoła woń
Ozdabiają białą skroń...*

Rezygnując z przytaczania cytatów poezji J. Poźniaka oddających pejzaż Bieszczadów w ziemie należały do rejestru autorów, w których wersji tematyka bieszczadzka znalazła swój wyraz, dodać jeszcze nazwisko nieznanego zupełnie, ale bardziej od Poźniaka uzdolnionego poety, Jakuba Zakrzewskiego. W

jednym wydanym przezeń w roku 1845 we Lwowie zbiorku poezji pt. „Listki jesienne z podróży”, znajdujemy kilka utworów poświęconych Bieszczadom, a mianowicie: „Sanockie” i „Iwoniec”. I temu uczniowi W. Pola Bieszczady przedstawiają się w pełnej krasie:

*Już to braci sanoczanów
Po dolinach gniazda.
Z pieca na łeb do tych panów,
Lecz nie trzodzi jazda.
Bo czy puścisz wzrok w dolinę,
Którą San przerzyna,
Czy drogą wierzchowiną,
Którą las okrywa,
Jest gdzie spocząć twemu oku,
Jest się czemu dziwić,
I rozważyć myśl w uroku,
I serce pożywić.
Znać po Sanie, jak nieskoro,
Rzucać mu te doły
Niby płynie, a niesporo
Zatraca na polu.*

Obok wierszy opartych na motywach ludowych o Odrzykoniu może powstała równocześnie z „Bełkotką” autora „Pieśni o ziemi naszej”. Dla porównania z wierszem jak u W. Pola na iwonek podaniu o miejscowym palącym się wie-

*Burczysz Bełkotko,
Klekcesz Bełkotko,
Jodły posnęły, ogłuchnął las:
Czy ty go cucisz,
Czy ty go smucisz,
Czy ty się cieszysz i witasz nas!
Od wieków ponoć
Zawsze tą stroną
Słyszano źródło bełkot i szum,
W niejedno ucho
Rzewnie i głucho
Grała czarowna nuta twych dum.
Lotnie i wiotko
Igrasz Bełkotko
Po wzdętej fali płomień twój gra;
Z szumiącej głębi
Woda się kłębi,
Syczący ogień bucha od dna...*



— To lepsze niż wąż morski, niech pani tylko napisze: kanion, skały, huk strzałów, prawdziwy western. I tutaj ku nam...

W powietrzu unosi się słup dymu po wybuchu, który wstrząsnął przydrożną górą. Okoliczne lasy krótko odbiły echo detonacji. Stoiśmy przy rampie zamykającej w tej chwili drogę. Tabliczka z napisem „Kamieniołom, uwaga odstrzał kamienia” tłumaczy sytuację.

Wraz z grupą wczasowiczów zatrzymało się trochę młodzieży z pobliskiego obozu.

Ku nam istotnie szybko nadjeżdża samochód załadowany wielkimi brykami. Mój rozmówca ciągnie więc wyraźnie uradowany: to by bardzo ładnie w gazecie wyglądało tak: jeszcze nie uciecha eksplozja, a już pędzi wywrotka z ciepłym, odupianym kawałem skały.

— Wie pan co, wydaje mi się, że to jest rozstrzygnięcie kamień co dopiero odstrzelony. Nie mógłby pan tak wymyślić jakiegos dowcipu mniej po western, więcej z tych stron?

— Owszem, żeby kiedyś na odmiennie spróbowano tutaj w takim tempie coś wybudować. I nieco obrażony, godnie dyndając siatką szczerze wypchaną bukami, gazetami z drogi zeszedł na polną miedzę.

W przydrożnych rowach niebiesko od niezapominajek, gdzieś gdzieś kępa poziomek barwi tę modrą gęstwinę. W lipcowym upale drzewia wiejskie zagrody, od czasu do czasu szosę przemierzają dziewczynki, w kolorowych chusteczkach na głowie, grzecznie drepcąc parami. Wszystko wygląda trochę jak na sielskim obrazku dla dzieci Olgi Siemaszko.

Raz po raz z naszego autobusu ktoś się urywa. Jedni zatrzymują się w Łosicach, na innych oczekują dzieci z kolonii w Hańczowej. Pojdąmy dalej — do Wysowej.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że Wysowa przeżywa okres recesji. A może tylko przedstawiała się nam inaczej w latach minionych, gdy krótko gościliśmy na campingu Związku Zawodowego Pracowników Państwowych i Społecznych.

Jednak u źródeł widok nieprzyjemny. Stara rozlewnia spłonęła. Nowo budowana, o pięciokrotnie zwiększonej mocy produkcyjnej, na pewno będzie funkcjonalna, higieniczna, z tym tylko zastrzeżeniem: kiedy będzie gotowa?

— Mam od was otrzymać 2300 000 butelek w tym roku. Szczerze mówiąc, nie mam wątpliwości, że wysochańskie wody, moglibyśmy ich sprzedać, a sprzedać — handlowo klaruje przedstawiciel WZGS; inni nie bacząc na jaskrawy prymityw tymczasowych urządzeń, systemem samousługowym czerpią wodę ze źródła „Józef”, „Bronisława”. Wokół pobojowiska butelek — niekoniecznie po wodach leczniczych — i mnóstwo papierów. Cała ta prowizorka nie powinna zresztą szczególnie razić, gdyż źródła znajdują się w zasięgu wielkiego placu budowy. Pawilon łazienek — w budowie. Restauracja GS — w budowie. Przytulny dom mieszkalny zwany wodomistrzówką — w budowie. Nasuwa się pytanie, kiedy ostatecznie inwestycje te przekazane zostaną do użytku kuracjuszy i wczasowiczów. Bo o wysokoleczniczych własnościach źródeł i wód wysochańskich jesteśmy przekonani od dziesiątek lat. Znane już były naszym babkom. Ale chyba nie chcemy, by dopiero nasze wnuki zastały Wysową w takim architektoniczno-użytkowym kształcie, w jakim jeszcze mi pragnęlibyśmy ją ujrzeć.

Bardzo skądinąd interesująca wymiana zdań, jakiej się tam przystychiwałam. Opinie fachowców z dziedziny handlu i zopatrzenia na temat perspektyw dobrego hotelu, który ma tutaj stanąć, specjalistyczne nieomal rozważania odnośnie lokalizacji, z dala widocznej, efektownej, konieczności na wzgórzach, o kulturalnych użytkach — budowanego od trzech lat pa-

wilonu restauracyjnego i zamierzonego domu hotelowego — przypomnieli mi inną dyskusję, jakiej byłam świadkiem podczas minionej zimy w Iwonie-Zdroju.

Miejscowy aktywny współzdelegat na Kongres Kultury rozważał zagadnienia kulturalne tego uzdrowiska. Ale mówiono nie tylko o przedsięwzięciach ściśle k.o., lecz również o poziomie handlu, usług, a nawet i rzemiosła dla kuracjuszy, o niezbędnym w takich miejscowościach tempie inwestycji i stwierdzano, że dopiero wszystkie te elementy zapewniać mogą odpowiednio kulturalne warunki odpoczynku, wczasów, kuracji...

Czy skromny, anachroniczny sklepik GS w Wysowej, przyciągającej coraz więcej letników, z ubożuchną mieszanką towarów na zasadzie czernidła, mydło, powiódło, gospoda, przy najlepszych chęciach personelu, nie zdolna wyżywić wszystkich konsumentów, kiosk „Ruchu”, w którym już przed godziną dwunastą w południe nie ma właściwie żadnej prasy, wystarczać mogą w tych okolicznościach?

Niedalekie Wapienne, z pewnym połotem i inicjatywą prowadzone przez zarządy okręgowe dwu związków zawodowych z Rzeszowa, nieco lepiej umie sobie radzić z inwestycjami, w czym nie miała zaślaga PRN Gorlice. Zgrabne, czyste łązki z kapielami borowinowymi, solankowymi, efektywnie zaplanowany basen, który wkrótce stanie się udziałem tego mikrouzdrowiska tak podobnego do niedawnej Krynicy, rozstawiony już zwiewny metalowy szkielet świetlicy, wypisz, wymaluj warszawski okrągłak, dobrze świadczą o celowości wspólnych wysiłków.

Ale nie dziwi mnie wcale, gdy przewodniczący społecznej Komisji Zaopatrzenia Ludności WRN zauważa: poza ośrodkiem tutaj przecież nie ma gdzie co zjeść. Nie mówiąc już o tym, że jak przyjeżdżają do wczasowiczów w odwiedzinach członkowie rodzin, to nie ma gdzie spocząć na chwilę, jakoś kulturalnie, przy kawie i ciastku.

Koło nas, wprost na zielonej trawie, chłopcy z jakiegoś obozu wędrownego ze Śląska rozłożyli chleb i napoczęła konserwę. Zapewne, jak długo Wapienne było zwyczajną wioską, sklepik GS-u, przy bliskości Gorlic, jakoś wystarczał.

Dylematy kultury odpoczynku raz po raz nasuwają obserwatorowi, przemierzającemu ambitną ziemię gorlicką, czynnie zaangażowaną w pojedynku miast, w rywalizacji z Sanokiem, we współzawodnictwie „Jadą goście, jadą” itp. Naturalne walory, uroki tych góralskich lasów, bogactwo źródeł i ciałe ujawniających się nowych wód leczniczych, predestynują tę część Rzeszowszczyzny do roli wielkiego ośrodka wczasów.

Czy jednakże domki campingowe m u s i s i e g u ustawiać jeden nieomal na drugim. Taki właśnie rozkład zachowano w ładnym, nowym zakładowym ośrodku Łosie, i ta ciasnota ciąży nad campingowym osiedlem w Wapienne. Wygląda na to, jak gdyby koledzy pracujący przez cały rok o ramię w ramię produkcyjnie czy w biurze, obawiali się po prostu na okres urlopu oddalić od siebie o kilkanaście metrów. To jaskrawa przesada, a tych, którzy by mieli w tej dziedzinie jakiegoś wątpliwości, warto odesłać do rozmaitych artykułów i bardziej specjalistycznych rozprawek na temat kultury organizacji letniego wypoczynku.

Tymczasem ci, którzy nawet na okres lata niechętnie rozstają się z miejskimi murami, z rozmaitych części kraju ciągną do Biecza, nie uchylając się od prowadzenia gospodarstwa we własnym zakresie, czyli gotowania posiłków, uzupełnianych w razie wspaniałej pogody dobrym, tanim jedzeniem z gospody „Smakosz”, twardo dzierżącej „srebrną patelnie”.

Masywna bieżka wieża jest już odrestaurowana, pokryta stylowymi malowidłami, a zabytkowa jej tarcza niczym nowoczesny zegar

wyznacza godziny całej doby, od pierwszej do dwudziestej czwartej. Przed kilku laty wiedliśmy w jej cieniu rozmowy z dr. Przymkowskim, naszym znakomitym znawcą zegarów, z artystami-uczestnikami plenerowego obozu. Dzisiaj nie wiadać jakoś wokół malarzy z rozstawionymi sztalugami, natomiast na dachu rynkowej kamieniczki, pojawiła się chyba niedawno nadbudowana, w sąsiedztwie telewizyjnej anteny, pracownia malarzka. Biecz zatrudził się o własny sklep z pamiątkami: jakiś rzemieślnik dostarcza tutaj małych wyrobów z drewna. Bledną trochę przy uludnym blasku ciężkich wiszących klipsów — pamiątek, w cenie 50 złotych para.

Zony wczasowiczów, którzy tymczasem swobodnie powędrowali gdzieś z wędką, piekłą się pod zamkniętym sklepem Centrali Ogrodniczej. Po gwałtownym stukaniu w zamkniętych drzwiach z magiczną kartką „odbiór towaru” pojawia się rozszerzona do żywego ekspedientka i zdumionym kobietom tłumaczy coś na temat konieczności kulturalnego zachowania się. Prawdziwa heca!

My do „Smakosza”, my na kawę do „Pokusy” (ale nic z tego, bo właśnie zamknięta), a pewien odpowiedzialny pracownik administracji opuszcza nas na chwilę, by sprawdzić, co tu ukrywać, czy dotrzymany został termin oddania do użytku pewnej wstydlivej może, niemniej niezbędnej budowy komunalnej, koniecznej zwłaszcza, gdy bardziej masowo goście przyjeżdżają. Z tego, że w autobusie jest potem mnóstwo śmiechu, że niby i Biecz ma swoje Clochemerle nie sobie nie robi.

I znowu jedziemy malowniczymi serpentynami wysoko, pod samą Magurę Małastowską. Gdzieś przy zakręcie przydrożnym, z drewna, którego tutaj takie zatrzęsienie, chłopcy z mieleckiej kolonii wrzeźbili i ustawili coś bardzo ładnego, ni to przystanek, ni altanka.

Wskrosz duszne lipcowe południe, z małej wycieczki dziewczęta wracają do swego kolonijnego autobusu w Wysowej, doraźnie przeobrażonego na sypialnię czy jadalnię. Pośpieszenie mijają szpetny, zaniedbany plac przy źródłach. Na niewielkim kamieniu każda na rozwartę dłoni-niesie ulepioną z mokrej gliny zgrabną figurkę, małego ludzika i między sobą po cichu komentują to dzieło wakacyjnego przedpołudnia. Może zatęskniły za czymś, co po prostu ucieszyłoby oko...

„Świat 68” - nowy film Michała Romma

— Zabrałem się obecnie do gromadzenia materiałów do mojego następnego filmu. Tytuł roboczy „Świat 68”. Jak wynika z tytułu — mówi znakomity reżyser radziecki Michał Romm — zamierzam ukończyć film w przyszłym roku. Zresztą i tytuł, i terminy mogą się jeszcze zmienić.

Trudno mi już obecnie mówić o szczegółach, zbieramy dopiero materiały, nie ma jeszcze scenariusza. Powstanie dopiero w wyniku tych poszukiwań, które obecnie prowadzimy. Spróbuję określić nasz zamysł, nie podając ani fabuły, ani formy filmu.

W naszych czasach coraz częściej stykamy się z problemem młodzieży. W niektórych krajach młode pokolenie nazywają pokoleniem X. Niepokoi ono

rodziców, pedagogów i socjologów, dziennikarzy i pisarzy, filmowców, prawników.

Zastanówmy się co się dzieje obecnie w świecie. Czy nie zay; wiele okropności widać oczy ludzi wstępujących w życie? Zamierzamy kontynuować te prace, która rozpoczęliśmy „Dziwiciu dniami jednego roku” i „Zwykłym lasyżymem”.

Od czasu drugiej wojny światowej upłynęło już ponad 20 lat. Ludzie muszą pamiętać o tym, co było i zastanawiać się nad tym, co się dzieje obecnie na naszej planecie. I to właśnie przysięgam będzie niemu przyszłego filmu „Świat 68”.

(KI-PAP)

Polski western na bieszczadzkich połoninach

W samym centrum Ustrzyk Dolnych, nad Strwiążem rozlegają się strzały, słychać tętent galopujących koni, biegają uzbrojeni milicjanci w starych drelichowych mundurach... Tłumek ludzi przygląda się z wielkim zainteresowaniem tym dramatycznym wydarzeniom, które przykuwają ich uwagę już od kilku dni. Tylko szum kamer i okrzyki przez głośnik — uwaga, powtarzamy scenę — świadczą, iż po prostu jesteśmy świadkami kręcenia filmu.

Film będzie się nazywał „Wilcze echa” — realizuje go zespół „Rytm” według scenariusza Aleksandra i Danuty Ścibor - Rylskich. Reżyseruje go Aleksander Ścibor - Rylski.

W krótkiej przerwie między zdjęciami rozmawiam z reżyserami filmu.

— Chcemy stworzyć jakiś polski odpowiednik westernu — z dynamiczną akcją, brawurowymi przygodami, strzelaniną, galopadami koni i koni i to wszystko na tle surowego bieszczadzkiego krajobrazu — informuje mnie p. Ścibor - Rylski. Film będzie kolorowy i panoramiczny i chyba już w lutym wejdzie na ekrany.

Tytuł „Wilcze echa” i lokalizacja akcji filmu w Bieszczadach

świadczą, iż chodzi w nim chyba o sprawy związane z działalnością band UPA...

— Niezwykle! Akcja filmu rozgrywa się już po ukończeniu walk około roku 1949, gdy Bieszczady są już wyludnione. Jej motorem jest „skarab”, czyli kasa pułkowa ukryta, gdzieś w lasach przez rozbitą sołnicę ukraińską. Chce go zdobyć grupa rabusiów, która w tym celu dokonuje napadu na posterunek MO — zdobywa go, a później przebiera się w mundury i działa, jako kłosa milicja. Szefem bandy jest samozwańczy plutonowy Meron, którego gra Mieczysław Stoor.

Kto jeszcze wystąpi w filmie?

Na wykonawcę roli głównego bohatera filmu (pozytywnego) zaprosiliśmy estońskiego aktora, Bruno O'ya, który przez paru tygodniami otrzymał Nagrodę Leninowską za rolę w filmie litewskim „Nikt nie chciał umierać”. Ma wyjątkowe warunki zewnętrzne do kreowania roli bohatera westernu. Przystojny, wysoki (2,07 cm wzrostu), doskonale zbudowany reprezentuje typ urody znajdującej żywą sympatię widzów. Gra u nas rolę zdemobilizowanego oficera WOP-u, ochrążonego Słowina, który demaskuje i unieszkodliwia bandę. Pomaga mu w tym Tekla, jedyna rola żeńska w filmie (Irena Karel). Występuje również Marek Perepeczko, który niedawno kreował główną rolę w filmie „Potem nastąpi cisza”, Andrzej Hrydzewicz i inni.

— Jak widać Wasza ekipa dostarcza sporo sensacji i rozrywki mieszkańcom Ustrzyk. Codziennie otacza Was tłumek widzów. Czy to nie utrudnia Wam pracę?

— Istotnie sensacja jest sporo, zdarzają się nawet prawdziwe dramatyczne wydarzenia. Np. Bruno O'ya przeżył dwukrotnie groźny upadek z konia przy realizowaniu jednej z dość karkołomnych scen. Na szczęście zakończyło się to tylko omdleniami. I widzowie, i lipcowy upał na pewno nam pracy nie ułatwiają. Ale tu, w Ustrzykach Dolnych, kręcimy tylko do końca lipca, natomiast w sierpniu wyjeżdżamy do Ustrzyk Górnych i będziemy realizować dalszą część filmu na Poloninie Caryńskiej. Tam gapiów nie będzie, ale wyobraź Pan sobie ile nas będzie kosztowało trudu stworzenie na tym bezludziu bazy technicznej? I na tej wysokości?...

— A teraz pytanie bardziej osobiste. Jak Pan doszedł do reżyserii filmowej. Pamiętam, przecież Pana, jako dziennikarza, a później pisarza, autora „Węgla”...

— Później byłem kierownikiem literackim w zespole filmowym „Rytm”, scenarzystą i wreszcie zdobyłem uprawnienia reżyserskie. Jest to już mój piąty film. W sierpniu wejdzie na ekrany reżyserowany przeze mnie poprzednio film „Morderca zostawia ślad” ze Zbigniewem Cybulskim w roli głównej, który zginął w trakcie zdjęć. Jest to niestety ostatni jego film.

— Dziękuję za rozmowę i serdecznie życzyć w imieniu „Widnokregu” sukcesu dla filmu. Mam nadzieję, że „Wilcze echa” nie tylko będą świetnym filmem przygodowym, ale również spopularyzują lepiej, niż dotychczasowe filmy, rozgrywające się w Bieszczadach („Baza ludzi umarłych”, „Rancho Texas”, „Zerwany most” i „Milcząca ślady”) urok krajobrazu i specyficzny klimat nastrojowy tego regionu. A to nie może nam być obojętne.

„E T O”

Rozmawiał: JAN GRYGIEL



Bruno O'Ya

Radziecki aktor filmowy pochodzenia estońskiego Bruno O'Ya jest wśród polskich kinomanów prawie że nieznanym (grał między innymi w filmach: „Strzał w mgłę”, „Nikt nie chciał umierać”, „Droga do przystani” i „Jutro rano”). Jednak w Związku Radzieckim cieszy się on ogromną popularnością. W czasie swej siedmioletniej kariery artystycznej zagrał w dziewiętnastu filmach. W roku bieżącym w ankiecie na najlepszego aktora ZSRR Bruno O'Ya zajął II miejsce po popularnym Inokientim Smoktunowskim. Za rolę w filmie „Nikt nie chciał umierać” przedstawiony został do Nagrody Leninowskiej.

Bruno O'Ya będąc w Polsce na premierze filmu litewskiego „Nikt nie chciał umierać” spotkał się z reżyserem Janem Rybkowskim, który zaproponował mu rolę w realizowanym przez siebie filmie produkcji polskiej i NRF „Kiedy miłość była zbrodnią”. Bruno O'Ya przyjął zaproszenie. Drugim polskim filmem, w którym zobaczymy tego popularnego aktora, jest realizowany obecnie przez reżysera Aleksandra Ścibora-Rylskiego film „Wilcze echa”.

Korzystając z pobytu Bruno O'Yi w Ustrzykach Dolnych Powiatowy Ośrodek Instrukcyjno - Metodyczny zorganizował kilka jego recitali, w czasie których publiczność ustrzycka i nie tylko (O'Ya wystąpił także w Sanoku i Solnie) gorąco oklaskiwała jego monologi i znakomite piosenki (jest również piosenkarzem), śpiewane przy akompaniamencie gitary. Bruno posiada bowiem wiele czaru osobistego i ogromny dar nawiązywania kontaktu z widownią. Zdarzało się, że niektóre piosenki śpiewała wraz z nim cała sala.

P. S.
Bruno O'Ya niezależnie od filmu „Wilcze echa” gra w trzech radzieckich filmach realizowanych obecnie w Moskwie, są to „Za nami Moskwa”, w którym gra Marszałka Rokossowskiego, „Martwa Fała” i „Wyzwolenie Europy”. W filmie tym występuje w roli asa niemieckiego wywiadu Otto Skorzenego. Załączony fotos pochodzi z filmu „Nikt nie chciał umierać”.

JAN BOLESŁAW OZÓG ogłasza swoje wiersze już od trzynastu kilku lat. Pierwszy swój wiersz opublikował w czasopiśmie „Okolica poetów”, włączając się dzięki tej decyzji z pełną świadomością w nurt polskiego autentyzmu. Przez długie lata był obok Stanisława Czernika czołowym teoretykiem i standardowym twórcą tego kierunku w polskiej literaturze. Głosił, iż podstawowym źródłem twórczości poetyckiej jest życiowe doświadczenie twórcy i zakres jego autentycznych doznań i przeżyć emocjonalnych. Urodził



J. B. Ozóg

się w Nienadówce, w pow. kolbuszowskim i całą swoją twórczość zarówno poetycką, jak i prozatorską związał z podrzeszowską wsią stając się piewą zgrzebnego i szarego krajobrazu i uroków natury traktowanej często jako kraina ucieczki od chorób współczesnej cywilizacji. Twórczość poetycka towarzyszyła mu jako studentowi teologii, później polonistyki, jako rolnikowi, drwalowi i partyzantowi w okresie okupacji, wreszcie, po wojnie jako gimnazjalnemu poloniście. Od roku 1951 zajął się wyłącznie twórczością literacką.

Jan Bolesław Ozóg jest autorem kilkunastu tomików poezji i kilku książek zawierających opowiadania i powieści. Od debiutanckiego tomiku „Wyjazd wnuka”, aż po wiersze z ostatnich zbiorów — „Spokój” i „Jemiola” przewija się przez jego strofy wies skonstruowana z destrukcyjną cywilizacją miasta. Zwłaszcza w ostatnich wierszach Ozóg podejmuje pryncypialną problematykę współczesności — sprawę nieprzystosowania człowieka do szybkiego przemian naszej epoki. Przed kilkoma dniami poeta otrzymał nagrodę ministra kultury i sztuki II stopnia za całokształt twórczości poetyckiej, ze szczególnym uwzględnieniem tomiku „Spokój”. Opowiadanie, które obok publikujemy pochodzi z przygotowywanej do druku autobiograficznej książki pisarza.

JAN BOLESŁAW OZÓG Jak to było z uroczą białą olamą

Poezje Marii Pawlikowskiej wzruszają mnie zawsze. W podręcznej swojej antologii najpiękniejszych wierszy polskich przechowywałem

od szóstej gimnazjalnej uroczą liryk „Historia o kowalach” z pierwszego jej tomiku „Niebieskie migdały”. Zaczynał się on tak:

*Jechał Kowal na Kowalu
jakby koral na koralu.
Całowali się bez granic,
grozę świata mieli za nic
Zajechali w cienie świerka
kędę wróbel głośno ćwierka...*

Wiersz opowiada, jak to po rozmaitych wędrownych Kowale

*zajechali ponad wodę,
weszli w nią jak krowy w szkodę
i topili się bez żalu
mały koral na koralu
i ginęli bez ratunku
w nieprzerwanym pocałunku.*

Co dalej?

*Patrząc już od dłuższej chwili
aniołowie zazdrościli
i martwili się i bali,
że Kowale zginą w fali.
Zszedł więc Cherub w wielkiej chwale,
porwał w niebo dwa Kowale.*

Prosiłuką tę baśń poetycką z uduchowionymi ptaszkami znalazłem w pamięć i kiedy przyjeżdżałem na wakacje na wies, wygłaszałem ją czasem wieczorami swojej młodziej siostrzytce, która liczyła wtedy nie więcej jak pięć lat i lubiała słuchać wszystkiego, co jej mówiłem albo śpiewałem.

Później czytałem wiersze poetki w „Wiadomościach Literackich”. Robiła na mnie wrażenie jej urodziwa twarz z wielkimi oczami, owalna, w białym kapeluszu, którą zapamiętałem z fotografii, reproduktowanej chyba w jakimś tygodniku literackim. Nie wiedziałem jeszcze o lekkim jej kalewiciu, nieznanym skrzywieniu kręgosłupa, którego musiała się zapewne wstydić i które przyczyniło chyba tej naprawdę uroczej kobiecie nienależnie i dramatycznych przeżyć.

Lubiłem tomiki jej subtelnych,

bardzo kobiecych, skondensowanych w wyrazie artystycznym liryk „Pocałunki” i „Dancing”.

Jednego jesiennego dnia, a było to w r. 1932 — chodziłem już do ósmej gimnazjalnej — przyniosłem z biblioteki TSL zbiorek wierszy Pawlikowskiej „Wachlarz”.

Mieszkałem w niewielkim, parterowym drewnianym domu na przeciw białych murów budynku gimnazjum. Nadchodził wieczer, trwała ciepła i cicha pogoda, z ulicy nie dochodził żaden hałas, kiedy ze stacji poszli na bionia grać w piłkę. Siedziałem przy ogromnym stole i zagłębiałem się w rozkoszną lekturę. Czytałem takie wiersze, jak „Ranny ptak”, „Lenartowicz”, „Laura” i „Filon”, „Śpiew słowika”, „Polowanie” itp. Zatrzymałem się nad drobnym lirykiem „Motyle”:

*Wiatr kołysze mirtem i cytryną,
śpiewa, by się mimozy nie bały.
Nad różą motyl przepłynął.
Nade mną aeroplan biały.
Motyl leci w dalekie strony.
Mija różę gorącą i ciemną.
Lotnik ślepy, lotnik szalony
przelatuje nade mną.*

Wiersz mnie oszołomił, może dlatego, że właśnie przez okno dopływał z ogródka rozmarzający zapach ciemnoczerwonych, późnych róż, miałem jednak już zmęczone oczy i odłożyłem książeczkę na stół, a sam położyłem się na łożku. Przy oknie, ciągle otwartym, zapadłem w błogie marzenia o motylach. Jak długo trwał ten stan, nie wiem.

Przywrócił mnie do przytomności szmer. Przez okno wleciał z ulicy jakiś, jak mi się zdawało, mały ptak. Poderwałem się na nogi i rzuciłem w pogoń. Bez trudu złapałem stworzenie w dłoń. Spojrzałem i puściłem natychmiast ze zdumieniem i przerażeniem. Zobaczyłem pomyłkę, nie był to ptak, ale wielka skrzydlata ćma z widoczną na ciele... trupią główką. Motyl

poleciał w górę, wpadł z powrotem w okno między krzaki róż i przepadł.

Barwa wspomnień

Jest jakiś niepokój w ludziach, że przeszłość się zamaże, zatrze, zginie, że przestanie się tłumaczyć, być zrozumiałą, że znikną do niej klucze, że charakter ludzki przestanie być jednostkowe i zleją się w jakiś mały wycinek epoki — jednoznaczny, oczyszczony z dwójności każdego faktu w momencie narodzin — tego faktu, który choć najdrobniejszy, dziś jest historią.

Mamy celnego felietoniste, który z premedytacją powraca do Verdun — czyli pierwszej apokaliptycznej klęski żołnierza, bo sam stary, chce zachować prawdę o niej. Gdyby nie pewne anomalie tej starożytności, przede wszystkim wywodzące się z rzeczywistego wieku felietonisty — byłby on dziś jeden bodaj, który o Verdun pisze jak o własnym doświadczeniu i jeden, który w historii chce upatrywać swoje jednostkowe klęski.

U wielu pisarzy, zafascynowanych historią najnowszą, tkwi wewnętrzna potrzeba — nakaz ciągłych przypomnień. Tym bardziej ona żywa i tym lepiej się ją rozumie, im częściej natrafia się na konkretną niewiedzę o przeszłości, jaką szermuje najmłodsze pokolenie, kiedy zniecierpliwienie i przesyta stają się swoiście pojętą formą protestu na martyrologię wspomnień, kiedy blask dnia dzisiejszego przyćmiewa niedowierzaniem barwę lat, które stały się już historią.

ZBIGNIEW DOMINO napisał swoje „PRAGNIENIA” właśnie zafascynowany historią ostatnich lat wojny, właśnie pełen niepokojów, że gdzieś powoli błędna barwa drobnych zdarzeń, które się na nią składały. Jest w tych kilkunastu opowiadaniach zupełnie widoczny zabieg powrotu a rebours, niezbyt często spotykany w literaturze wspomnieniowej, polegający na świadomy ucieczce od ocen, jakie zrodził dwudziestoletni dystans (opowiadania są pisane w połowie lat sześćdziesiątych), powrót do relacji o zdarzeniu, jakby się działo ono wczoraj, przed

Była to oczywiście ćma „trupia główka”. Wspominam o tym, ponieważ ani przedtem, ani potem, już nigdy więcej w swoim życiu żywej „trupiej główki” nie zobaczyłem. Miłośnicy przyrody wiedzą, że motyl „trupia główka” należy do owadów bardzo rzadkich u nas.

Niech mi ktoś powie, jak zakwalifikować to zdarzenie? W tak niezwykły sposób zmaterializowane marzenia, wywołane obrazami z tekstu poetyckiego? Był to zbieg okoliczności? Jeśli tak, to na pewno jeden z najniezwyklejszych w świecie. Myślę czasem, że ten poetycki „cud” zdarzył się mi za przyczyną jakiejś niezbadanej „różowej magii” słowa, którą autorka oddziaływała jak czarodziejka.

Pani Marii nigdy nie miałem okazji i szczęścia zobaczyć na własne, jak się to mówi, oczy i poznać osobie. Kiedy przybyłem do Krakowa na studia, mieszkała już dawno poza Krakowem, a „Kossakówka” stała już pustkami.

Ale mam od niej jeden list! Wysłałem jej kiedyś swój tomik poetycki i otrzymałem od niej z tej okazji zapisaną drobnym maczkiem ładną widokówkę, z Dębina, gdzie osiedliła się, jak wiadomo, po drugim wyjściu za mąż za oficera

kreślenie poetki) artystą w tej dziedzinie tak wymagającej, na tych ścieżkach tak wydeptanych.

Serdeczności łączę
Maria Jasnorzevska

5 VII 38

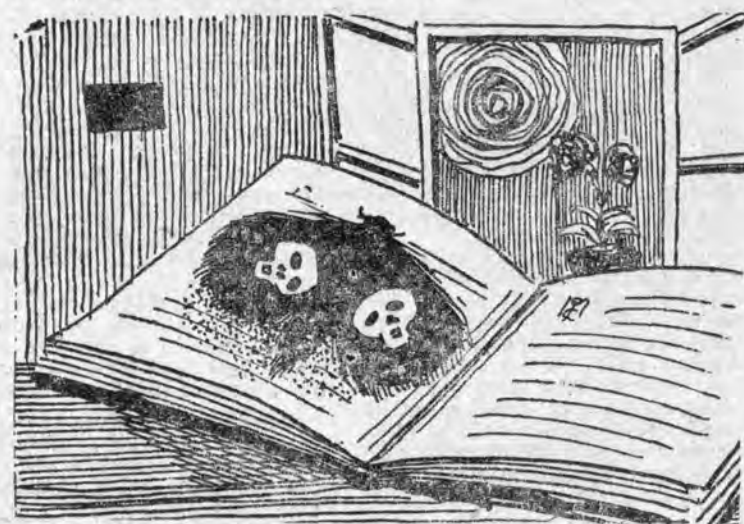
P. S.

Już mnie kiedyś zafrapowały Pańskie krótkie w „Kurierze” drukowane rzeczy: „Leż w trawie”, „Z okna”, „W polu”, wyróżniały się oryginalnością i uczciwością malarzkiego spojrzenia. Sądzę, że na tym Ozóg (podkreślenie poetki) piękna czarownica, poezja, zajadzie daleko.

Z zażenowaniem przytaczam te pochwały i komplementy ze strony znakomitej poetki.

Ujęty ją u mnie szczególnie wiersze-miniatyki, w których sama celowała. Domyślała się, być może, że ma we mnie w pewnym stopniu jakiegoś swojego kontynuatora.

Wynurzenia poetki świadczą o doskonałym znawstwie rzemiosła artystycznego i dobrej pamięci. Nazwisko moje zapamiętała przecież już wcześniej. Cytowane przez nią wiersze moje nie wszystkie pochodzą z „Kuriera Literacko-Naukowego”, ale także z „Okolicy Poetów”. Widocznie czytywała to pismo dość pilnie.



Rys. JERZY SIENKIEWICZ

lotnictwa. Wnoszę, że przyjechała właśnie z Turcji, widokówka bowiem przedstawia jakiś wielki stadion sportowy w Ankarze z gimnastykującą się młodzieżą żeńską.

Przytaczam tekst:
Drogi i Szanowny Panie!
Po dłuższej nieobecności wróciwszy do Dębina znajduję Pański tom „Wyjazd wnuka” laskawie mi ofiarowany. Czytam i podziwiam Pański talent tak oczywisty, tak nadzwyczajny (podkreślenie poetki). Pan, to rzeczywiście widzi i czuje, a wyraża się bogatym i nowym słownikiem. Będzie Pan nieraz okradany z wielu swoich wynalazków. „Poznałam się” na Pańskiej wielkiej wartości i z radością Panu to komunikuję. Jednak przyjmę nie spotkać się z prawdziwym (pod-

Horoskopy jej, świadczące o niezrównanym humorze, wzruszają mnie do dziś. Czy piękna czarownica, muza poezji, zajechała na Ozóg daleko? Nie wiem, nie mam o tym sądzić, ale podobno gdzieś tam mimo wszystko zajechała.

List daje poetce świadectwo chłubnego liberalizmu, skierowany jest przeciw do poety pochodzenia chłopskiego i autentysty. W środowisku artystów-pięknoduchów, w jakim poetka się obracała, autentysty nie należeli do ludzi szczególnie lubianych, choć szli niekiedy w swoich postulatami i walce o poziom pisarstwa o wiele od nich dalej. Odnoszono się do autentystów z rezerwą, jeśli nie z jawną niechęcią. Pawlikowska-Jasnorzevska — podobnie jak i Iwaszkiewicz — należała do wyjątków.

U naszych przyjaciół

ZSRR

Z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej w Moskwie otwarto międzynarodową wystawę książek, w której oprócz ZSRR uczestniczą: Polska, Bułgaria, Węgry, NRD, Kuba, Mongolia, Rumunia, Czechosłowacja i Jugosławia.

Na przestrzeni 10 000 m² ponad 12 000 eksponatów obrazuje bardzo bogatą działalność wydawniczą ZSRR w okresie po Wielkim Październiku. Około 30 radzieckich wydawnictw — wydało w ciągu 50 lat 200 razy więcej książek niż w okresie przed Rewolucją Październikową.

BULGARIA

Niedawno w Sofii odbył się pierwszy narodowy przegląd teatrów kukielkowych. Był on oceniony jako ważne wydarzenie dla przyszłego rozwoju bułgarskiego teatru kukielkowego, który cieszy się dużą popularnością i zyskuje coraz więcej wielbicieli wśród dzieci i dorosłych. Obecnie w Bułgarii jest 8 państwowych i 129 amatorskich teatrów kukielkowych. Wysokim po-

ziomem artystycznym wyróżnia się Centralny Teatr Kukielkowy z Sofii. Jego sztuki zdobyły wyróżnienia na scenach teatralnych szeregu krajów, a na drugim i trzecim międzynarodowym festiwalu teatrów kukielkowych w Bukareszcie uzyskały wysokie nagrody. W sofijskim przeglądzie uczestniczyły wszystkie bułgarskie teatry kukielkowe, a w charakterze gości przedstawiciele teatrów kukielkowych z wielu krajów, m. in. Polski. W czasie przeglądu obradowało Biuro Międzynarodowego Związku Działaczy Teatrów Kukielkowych. Impreza ta stała się m. in. okazją do przeprowadzenia szerokiej dyskusji nad aktualnymi problemami sztuki kukielkowej.

CZECHOSŁOWACJA

W Londynie przebywał na gościnnych występach Teatr Pantomimy z Pragi pod kierunkiem Ladisława Dialeka. Występy tego Teatru zakończyły się dużym sukcesem. Publiczność londyńska gorąco oklaskiwała artystów z Czechosłowacji.

Onr. Henryk Róg

świetnie zawiązanym wątkiem dramatycznym — zawsze z konkretnym bohaterem pozytywnym, którym jest chłopak wiejski — żołnierz. Odnosi się wrażenie, że właśnie dla niego autor pisze, że tworzy jakiś skromny epos dla tych wszystkich Felków, Poldków, Pawłów, Antosłów, słowem — porządnym chłopaków, którzy wyszli z biedy i którzy nie mają wątpliwości po co walczą.

Opowiadania są proste i dobrze świadczą o możliwościach konstruowania narracji przez autora; razi w nich jednak strona językowa — denerwujący i nieuczony slang wiejsko-żołnierski, niepowabny literacko, choć może prawdziwy obyczajowy. Tłumaczy autor „Pragnień” tylko ów zamysł oczenia motywów zdarzeń prawdziwych, owe próby odgrzebywania charakterów, a także... jego zawód, wyraźnie wyczułony na autentyzm słowa. I może jeszcze to, że Zbigniew Domino, wywodzący się z wioski podtytułowej chce, nawet z uszczerbkiem dla urody literackiej, przemyć w swych opowiadaniach gwarowy rzeszowski couleur local. A rzecz to przecie piekielnie trudna.

O rodowodzie zaś tej książki — to jest zapiskach prokuratora Kmita ani na chwilę nie wolno nam zapomnieć: gdyby jednak się tak stało, Domino sam rzecz przypomni w „Tetecie nr 2562”, kończąc opowiadanie taką relacją oskarżonego:
„I zabrał mi wtedy osobiście towarzysza kapitana Kmita moją tetetkę, numer 2562, rok produkcji 1934, a mnie oddał pod wojskowego prokuratora”.

Który to prokurator z kolei, zauroczony historią wiejskiego romanisu, w kilka lat później napisał opowiadanie...

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Zbigniew Domino — „Pragnienia”, wyd. MON, W-wa 1967.

Opowiadania są proste, często ze

„Śpiewający Wrocław” festiwal oratoryjno-kantatowy po raz drugi

Śpiewaj dalej piękny Wrocławiu — tak bodajże zakończyłam w ub. roku reportaż z pierwszego festiwalu oratoryjno-kantatowego „Vratislavia cantans”, który urzekł z miejsca licznych słuchaczy koncertów muzyki dawnej, zorganizowanych w środku lata, w rozległym, pełnym zieleni Wrocławiu. Chociaż festiwalu wrocławskiego nie poprzedzała szeroka

informacja, jaką na przykład cieszą się imprezy Opola i Sopotu — spotkania muzyczne w auli Uniwersytetu wrocławskiego — „Leopoldinie”, nowoczesnym studiu Polskiego Radia i pochodzącym z XV w. kościele garnizonowym mogły pochwalić się nadkompletami. Wówczas skończyły się dyskusje — notabene — w bardzo wąskim gronie specjalistów —

czy warto organizować tego typu festiwal, czy jest zapotrzebowanie społeczne i zainteresowanie dawną muzyką chóralną i wokalną — solistyczną. Wszyscy obserwatorzy życzyli Wrocławowi, aby impreza przekształciła się w stały festiwal. Znając natomiast zmysł organizacyjny dyrektora i kierownika artystycznego miejscowej filharmonii Andrzeja Markowskiego i życzliwy stosunek władz miasta i województwa do sztuki, byliśmy pewni, że tak się stanie. Oto ogłoszony został II festiwal p.n. „Śpiewający Wrocław”, który odbędzie się w dniach 25 — 30 sierpnia br. W imprezie wezmą udział czolowe zespoły wokalne — instrumentalne kraju i znakomici soliści.

Pierwszy koncert poświęcony będzie muzyce Karola Szymanowskiego, którego 30 rocznica śmierci przypada w tym roku. Jego III Symfonię i Stabat Mater wykona chór i orkiestra symfoniczna Filharmonii Narodowej pod dyrekcją Witolda Rowickiego. Drugi dzień przyniesie utwory kameralne różnych kompozytorów w interpretacji chóru kameralnego Filharmonii Narodowej i orkiestry kameralnej filharmonii wrocławskiej. Koncert prowadzi Andrzej Markowski.

Trzeci dzień: Msza h - mol Jana Sebastiana Bacha w wykonaniu Poznańskiego Chóru Chłopięcego i orkiestry Państwowej Filharmonii w Poznaniu pod dyrekcją laureata nagrody twórczej ministra kultury za rok 1967 — Jerzego Kurczewskiego.

Czwarty koncert odbędzie się w studiu PR i wypełni go muzyka polską od Górczyckiego przez Spisakę do Romualda Twardowskiego — chór Wrocławskiej Rozgłośni PR i TV oraz zespół instrumentalny filharmonii wrocławskiej. Koncert poprowadzi Stanisław Krukowski.

Dwa ostatnie dni festiwalu przyniosą dalsze monumentalne dzieła, które mają już za sobą również karierę światową: Pasję według Łukasza — Krzysztofa Pendereckiego w wykonaniu prapremierowym (Chór Mieszany, Chłopięcy i Orkiestra Symfoniczna Państwowej Filharmonii w Krakowie pod batutą Henryka Czyży, soliści: Stefania Woytowicz, Andrzej Hiolski i Bernard Ładysz) oraz koncert poświęcony 400 rocznicy urodzin Claudia Monteverdiego. Chór filharmonii krakowskiej i orkiestra filharmonii wrocławskiej wykonają pod kierownictwem Andrzeja Markowskiego dzieło „Il vespere della Beata Virgine”.

W czasie festiwalu czynna będzie wystawa starodruków i rękopisów muzyki wokalne, a w dniach 28—29 VIII odbędzie się małe sympozjum poświęcone twórczości Monteverdiego i muzyce wokalne.

Jeżeli Wasze trasy urlopowe — miłośnicy muzyki — prowadzić będą w czasie festiwalu „Śpiewający Wrocław” przez stolicę Dolnego Śląska, serdecznie radzę: posuchajcie chociaż jednego koncertu. Przechybia pozostań długo w pamięci.

M. G.



Właściwie z najczystszym sumieniem, że zrobicie świetny interes, mogłabym polecić sprzedaż telewizorów! Zadnych niespodzianek bowiem spodziewać się nie możemy, gdyż zaplanowano ogórki, powtórki, i takie tam programy, co to lecał rozmachem dawnym, a więc stare, brodate magazyny, w których ani rusz nie chce być ciekawie.

Wylał się może tylko z tej dretwoty ogólnej, ostatnio bardzo słabutki, magazyn młodzieżowy „Po szóstej”, transmitując z Gdańska program atrakcyjnie pomyślany, prezentujący ludzi ciekawych, aranżujący sympatyczną symulowaną szachową z mistrzem Polski oraz najsympatyczniejszego, najinteligentniejszego piosenkarza — Wojciecha Młynarskiego, który rad udzielał jak pisać dobre piosenki. Poza tym — właśnie dzięki klubowi „Po szóstej” mieliśmy możliwość poznać jednego z najciekawszych poetów radzieckich — Białutę Okudżawę, śpiewającego swoje piosenki — poematy przy akompaniamencie gitary. Dziwię się tylko mocno, że telewizja nie skorzystała z dosyć długiego pobytu w Polsce tej atrakcyjnej osobowości i nie zaprezentowała nam dłuższego recytalu Białutę Okudżawę, który mógłby się stać pretekstem do szerszego omówienia współczesnej poezji radzieckiej, o której, przynajmniej, w telewizji zupełnie pusto i głucho (rok bodaj minął od czasu — kiedy Stanisław Zaczek recytował wiersze Cwietajewej). Okudżawa — specyficzny piosenkarz, interpretator sięgający po najlepsze wzory francuskiej piosenki literackiej, obracający się w klimacie niepowtarzalnych śpiewo-poematów George'a Brassensa — w tej skąpej dawce w „Po szóstej” wydaje mi się powodem do mówienia o zmarnowanej okazji.

Za taką uważam również pro-

gram przygotowany z okazji 22 Lipca; program tak luźno ze Świętem związany, że tego święta nie czuło się prawie wcale. A przecież dawano ono asumpt do różnorodnych reportażów, do wielkiej publicystyki, do prezentacji ludzi, którzy Polsce oddali swój talent i wiedzę, do filmowych odkryć urody kraju — do wielu, wielu spraw, którymi przez 23 lata żyło ponad 30 milionów Polaków. Niewiele z tego znaleźliśmy w minioną sobotę, choć uciążliwość piszącej te słowa podpowiada zaraz, że jeden rodzynek pachnący świeżością jednak tkwił w programie: myślę naturalnie o przeglądzie muzyki polskiej; przeglądzie wypieszczonym przez realizatorów, o starannie dobranej tematyce, z piękną, prostą oprawą scenograficzną, z najznakomitszymi wykonawcami.

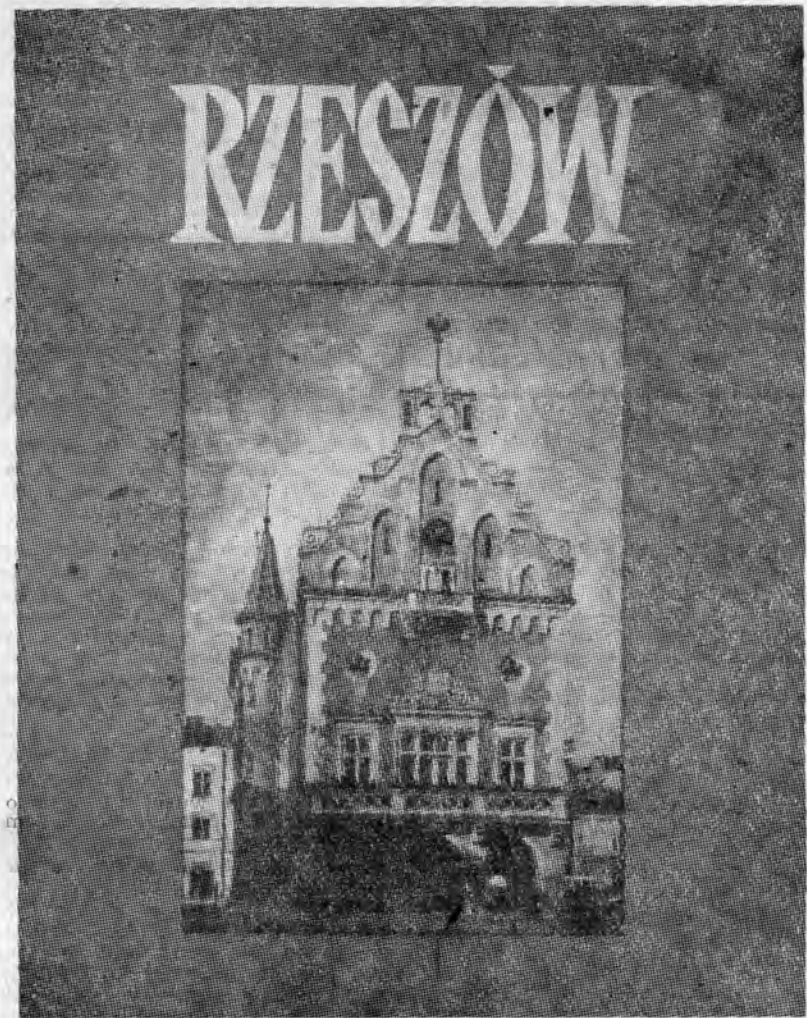
Począwszy od muzyki staropolskiej, gdzie Rejowy „Przestrach” śpiewały Poznańskie Słowiki Stuli-grosza w scenerii sali wawelskiej z plafonem głów Dunikowskiego, dodajmy głów wybranych — najstraszniejszych i groźnych, poprzez szopenowski mazurek w wykonaniu Marty Sosińskiej z tłem fotogenicznej Żelazowej Woli, sonety miłosne Bairda, tańczone pięknie przez Barbarę Olkuszniczkę i Stanisława Szymanowskiego, fragmenty pieśni „Mazowsza” i „Śląska”, fragmenty „Harasów” Szymanowskiego, transmitowanych z Teatru Wielkiego, wariacje na temat Paganiniego na dwa fortepiany Lutostawskiego, w których zdumiewał znakomity montaż filmowy, aż po Mazurę ze „Strasznego dworu”, który przegład kończył akcentem wspaniałym — udało się realizatorom utrzymać widza w klimacie muzyki rdzennie polskiej, najpiękniejszej, najwartościowszej. I choć żal nam było, że fragmenty zbyt krótkie, pamiętając jednak, że program idzie w Interwizję, że jest pozycja przygotowana raczej na eksport, stwierdzam, że był najlepszą wizytówką święta narodowego.

Nieco trudniej to byłoby powiedzieć o literackiej estradzie „Tylko dla was bitwy przesyłamy”, opracowanej przez Okraszkową i Bryllę. Pomysł na pewno ciekawy — oparcie się o anonimowe teksty konkursu rozpisanego przez Żołnierza Wolności i Radiowy Magazyn Wojskowy na tematy frontowej miłości — właśnie przez zbyt wielką naukowość tych tekstów, ich nieporadność literacką — co chwila rozlaży się w szwach. I nie pomogli dobrzy wykonawcy, dobra reżyseria Ludwika Renę, ni muzyka Edwarda Pałaska — rzecz pozostała natwna, nieostrożnie obnażająca słabości literackie, w sumie — nijaka. Nawet pomysł oplecenia tej frontowej literatury piękną poezją Leśmiana o malinowym chruśniku — niewiele pomógł.

A o reszcie? — O reszcie powiem, że tylko zapamiętała świetny „Krzyk kobiet” — reportaż wstrząsający autentyzmem zagrożonego życia społecznego w Neplach — lubelskiej wiosce, gdzie królują gospoda o przewrotniej nazwie „Wesola” i że Wydrzyński — autor cyklu sensacyjnego natrafii na złotą żyłę typu „któraś tam woda po kapitanie Klossie” i Bóg raczy wiedzieć kiedy ją wyeksploatuje. Rzecz mięści się na pewno w kategoriach ogórkowych, a więc — wszystko w porządku.

Żeby już więcej nie wybrzydać — wypada mi skończyć i zapowiedzieć dłuższe rozstanie z moimi Czytelnikami, bo pełnia lata i rok sprawozdań telewizyjnych zachęcają do tej przerwy. Zatem do poczytania we wrześniu...

Krystyna



— „Nie sądzić, że Rzeszów jest miastem małym. Aby go dobrze poznać, trzeba wielogodzinnych wędrowek. Między osiedlami w Staromieściu a WSK, czy Osiedlem Piastów, rozciąga się na przestrzeni kilku kilometrów miasto bardzo rozmaite, stare i miodę, brzydkie i ładne, pełne ruder i czynszówek, miłych piętrowych domków i wielopiętrowych punktów...” Tak pisze w słowie wstępnym niedawno wydane albumu „Rzeszów” Tadeusz Chrzanowski. Album ten stanowi kontynuację bardzo udanej serii wydawniczej „Sportu i Turystyki” zawierającej portrety miast („Kazimierz”, „Opole”, „Szczecin”) oraz ciekawszych regionów turystycznych („W Sudetach” czy „Morskie Oko”). Przeważa w nich zwykle część ilustracyjna, złożona z ciekawych, artystycznych zdjęć, nad częścią opisową. Chodzi bowiem o popularyzację turystyczną atrakcyjnych miast lub regionów, o odtworzenie klimatu nastrojowego miejscowości, a nie o monografię historyczną czy ekonomiczną. Stąd komentarz słowny bywa w albumach ograniczony do minimum.

Autor albumu „Rzeszów”, krakowski historyk sztuki i poeta, Tadeusz Chrzanowski, powiedział jednak w 13-stronicowym wstępie sporo interesujących rzeczy o mieście. Pisze o nim z sympatią, zrozumieniem procesów i trudności rozwojowych oraz z dużą znajomością dziejów Rzeszowa, jak na popularny szkic informacyjny. Można by oczywiście zarzucić autorowi, iż sporo ciekawych momentów z przeszłości miasta pominał, ale przecież, jak się rzekło wyżej, nie chodziło tu o rozprawę naukową z zakresu historii. Ze szczególnym rozmówianiem i znajomością rzeczy pisze Chrzanowski o dawnej i nowej architekturze Rzeszowa oraz jego przemianach urbanistycznych. Wspomina o zasługach dla miasta najwybitniejszego architekta baroku Tylmana z Gameraen nadwornego budowniczego Lubomirskich. On to projektował klasztor, kościół oraz Kolegium Pijarów przy ul. 3 Maja, on wznosił również piękne budowle wokół zamku Lubo-

mirskich. Autor wysoko ceniąc jego dzieła pisze m. in. „W zieleni tej, nie opodal zamku kryje się pałacyk letni Lubomirskich — dziś siedziba Polskiego Czerwonego Krzyża. Architektura lekka i wykwintna, jak epoka, w której powstała — późny barok XVIII wieku. Aristokratyczna i bardziej może saska niż sarmacka w zamięśli, w wykonaniu stała się najzwyklejniej rodzima i staropolska. Oto bogate detale obramień okien, portali i nisz mieszczących antykizujące popiersia, przewidziane dla marmuru, kamienia, w najgorszym razie stiuku — wyrzeźbione zostały we wspaniałej, trwalszej niż piaskowce i stiuki podrzeszowskiej dębinie”.

Mimo iż na ogół Rzeszów uchodzi za miasto pozbawione cennych zabytków architektury, Chrzanowski uczy czytelnika szacunku dla pięknych śladów przeszłości tego grodu i umiejętnie ukazuje je nie tylko w części opisowej, ale również za pomocą obiektywu (jest także autorem wszystkich zdjęć). Nie porzasta na fotografiach ukazujących dzielnice, ulice i budowle w planach ogólnych — znakomicie zbliża naszym oczom detale architektoniczne, najciekawsze fragmenty zabytkowych wnętrz czy cenne dzieła sztuki, których, jak się okazuje, nie brak w Rzeszowie. Sporo tu zdjęć lirycznych, nastrojowych, sporo umiejętnie zestawionych kontrastów, wszędzie widoczna życzliwość i sympatia autora, która kieruje jego piórem i obiektywem. Album posiada także tekst informacyjny w 4 językach — rosyjskim, francuskim, angielskim i niemieckim. Jest więc przeznaczony dla cudzoziemców, jako źródło elementarnej wiedzy o tym mieście i trzeba przyznać, iż to zadanie spełnia dobrze. Po albumie „Ziemia Rzeszowska”, w którym znalazła się wkładka poświęcona Rzeszowowi i albumie WAG-u „Rzeszów”, ta książka jest trzecim okazałym wydawnictwem albumowym propagującym miasto w kraju i za granicą. I chyba propagującym najlepiej.

IAN GRYGIEL



Aleksander Maliszewski; NA PRZEKÓR NOCY. PIW, s. 373, cena 28 zł.

Dwa lata temu (1965) ukazał się stanowiący całość tom wspomnień warszawskich A. Maliszewskiego „U brzegu mojej rzeki”. Krytyka i czytelnicy przyjęli książkę bardzo przychylnie. Dziś trafia do rąk odbiorcy ciąg dalszy wspomnień autora. Tom I obejmował lata 1909—1939, omawiana pozycja zawiera lata wojny i okupacji. Akcja zaczyna się w Lwowie, a kończy scenami z powstania w Warszawie. Występują znani ludzie. Ciekawa pozycja.

Maria Niklewiczowa; HETMAN KUBA. Powieść dla młodzieży. Wyd. Lubelskie, s. 383, cena 20 zł.

W dużym, bo 20-tysięcznym nakładzie wydana powieść, której akcja rozgrywa się w okresie najazdu szwedzkiego. Jej początek: „Kiedy zaczyna się ta opowieść, Kuba ma lat czternaście. Ale na to, aby zrozumieć jego przygody, a także dzieje Dębowych Tarcz i całej skierbieszowskiej okolicy, trzeba na kilka chwil cofnąć się o siedem lat, do roku tysiąc sześćset czterdziestego ósmego. Potem przystąpi do dzieła wartko...”

PIERWSZE WIDZENIE. Almanach opowiadań autorów koszańskich. Wyboru dokonał i przedmowę napisał Włodzisław Maciąg. Wyd. Poznańskie, s. 219, cena 18 zł.

Tom zawiera piętnaście opowiadań młodych wiekiem bądź stażem pisarskim prozaików z Kosza. Niektórzy autorzy mają już za sobą debiut książkowy (G. Flaikowski, Z. Kiwka, Cz. Kurlata, Z. Zelwan), inni debiutują właśnie w tej pozycji. W całość łączą książkę nie tylko ciąg historyczny od czasów I woj-

ny światowej do chwili obecnej, ale przede wszystkim region, akcja opowiadań rozgrywa się głównie w województwie koszańskim. Pożyteczne to zamieszczenie, także wydawanie almanachów stwarza dobre warunki startu młodym pisarzom. A i poczytać warto.

Branko Copic; OSMA OFENSywa. Przeł. M. Krukowska. PIW, s. 310, cena 15 zł.

Urodzony w 1915 roku serbski literat brał czynny udział w walkach partyzanckich. Utwór ten uznany w Jugosławii za „książkę roku 1964” nie traktuje wprawdzie o czasach wojny, ale wojna i partyzantka wciąż są obecne w świadomości bohaterów i rzutują na ich życie. „Osma ofensywa” to kształtowanie nowego oblicza kraju, a zbyt nagłe i radykalne zmiany w życiu bohaterów rekrutujących się przeważnie z chłopstwa wymagają walki z głęboko zakorzenionymi w ich mentalności nawykami żołnierskimi, są przyczyną wielu tragedii.

Sergio Pitlor; KAŻDY ZE SWOIM PIEKŁEM. Przeł. Z. Szleyen i K. Wojciechowska, s. 145, cena 10 zł.

Sergio Pitlor (ur. 1933) reprezentuje nowy nurt w literaturze Meksyku, bardziej niż twórczość starszej generacji niezależny od folkloru, silnie związany z aktualną problematyką kraju. Bohaterowie jego opowiadań to ludzie ulegający silnym namiętnościom, zazdrości, nienawiści, to ludzie uwikłani we własne słabości i własną przeszłość. A więc świat przeżyć wewnętrznych. Autor przez kilka lat przebywał w Polsce, stąd jedno z jego opowiadań nosi tytuł: „W drodze do Warszawy”.

Jerzy Muszyński; PRZESTĘPSTWO WOJSKOWE A PRZEWINNIENIA DYSCYPLINARNE W POLSKIM PRAWIE WOJSKOWYM. MON. s. 225, cena 30 zł.

Na tle historycznym, ze szczególnym uwzględnieniem chwili obecnej.

H. Pałczyński, W. Stefański; POL-PRZEWINNIKOWE STABILIZATORY NAPIĘCIA I PRĄDU STAŁEGO. MON. s. 327, cena 32 zł.

Na naszym ekranie

Jayne Mansfield

Śmierć nie szczędzi ostatnio ludzi filmu. Montgomery Clift, Walt Disney, Mikołaj Czerkasow, Zbigniew Cybulski, Spencer Tracy — oto wybitni przedstawiciele sztuki filmowej, którzy odeszli od nas na zawsze w ostatnich miesiącach. Niedawno gazety przyniosły dalsze smutne wieści. W płonącym samochodzie zginęła Francuzka Françoise Dorléac, a w Ameryce straciła życie

stosowały się do ich życzeń, stąd te ekstrawagancje i skandaliki, których było pełno w gazetach, stąd owe wystudiowane pozy przed obiektywami fotoaparatów i wypowiedzi podszywane przez sprytnych impresariów.

Mansfield była narzędziem w ręku tych ostatnich, nie potrafiła czy nie mogła im się przeciwstawić, a może i nie miała większych pra-



Jayne Mansfield — pozy przed obiektywem

także w wypadku drogowym Jayne Mansfield.

Nazwisko Mansfield łączono kiedyś z takimi nazwiskami jak Monroe czy Novak. Dziewczęta te stanowiły wówczas słynną trójkę amerykańskich platynowych piękności, zmieniając się kolejno na okładkach ilustrowanych czasopism, sąsiadując z sobą na wewnętrznych stronach drzwi szafek setek tysięcy rekrutów US Army. W odróżnieniu od swych koleżanek Jayne Mansfield nie była wielką (jak Marilyn Monroe) ani nawet średnią aktorką (jak Kim Novak). Była pin up girl, dziewczyną, której jedynym atutem była uroda, figura, a zwłaszcza imponujący, słynny w całym świecie biust. Dzięki tej urodzie trafiła na łamy gazet, dzięki niej weszła do filmu, w którym jednak nigdy nie osiągnęła takich sukcesów, jak obie poprzednio wymienione aktorki. Była gwiazdą, kolejnym wytworem Hollywoodu, prezentowanym ządnym kobieciej piękności tatum, całe jej życie dostosowane zostało do wymagań olbrzymiej maszyny lansującej ją, reklamującej, przygotowującej grunt pod przyszłe zyski.

Prasa nie ucichała ani na moment. Szeroko rozwinęła się dziennikarska o upodobaniach i zwyczajach Jayne, miliony kinomanów na całym świecie wiedziały, że aktorka uwielbia 2 kolory: złoty i różowy, że tak właśnie pomalowane jest jej mieszkanie, że różowy kolor ma samochód marki jaguar, a różowe łóżko małżeńskie ma w dodatku kształt serca. Czołochi dopełniały różę rosnące przed domem tuż obok basenu (także w kształcie serca ze złotym napisem na dnie „Kocham Cię Jayne” umieszczonym tam przez kolejnego męża aktorki), różowa wanna z marmuru itp.

Machina propagandowa Hollywoodu pracowała sprawnie. Ładowane w nią pieniądze miały stworzyć lansowaną gwiazdą, umiejętnie zatem dawano sensacje o jej życiu, flirtach, małżeństwie z mister Uniwertsum — Hargitajem, o sprawach rodzinnych itp. Fotoreporterzy mieli pełne ręce roboty, aktorka raz po raz musiała przywoływać na usta sztuczny, powoloczysty uśmiešek i wdzierać się przed obiektywem. Pod zdjęciami umieszczono później podpisy przypominające znów po raz n-ty z kolei wymiary obwodu biustu Mansfield, talii i bioder, bądź też jej deklaracje o tym jak bardzo kocha dzieci, jak lubi je rodzić, że zamierza mieć ich jedenaście (w chwili śmierci miała czworo dzieci).

Monroe osiągała szczyty kariery, walczyła z narzucanymi jej schematami, studiowała filozofię i uczyła się aktorstwa. Jayne nie miała takich ambicji i zdecydowanie pozostawała w cieniu swoich rywali, grając niemal wyłącznie w komercyjnych filmach, pośredniej jakości, gdzie jej rola polegała głównie na prezentacji imponujących rzeczywistości kształtów. Lubiła śpiewać i nagrywać trochę płyt, śpiewała także w kilku filmach, ale nie śpiew i aktorstwo składały się na jej popularność. Zawdzięczała ją amerykańskiej reklamie, amerykańskim specjom od stwarzania mitów, którzy postanowili zrobić gwiazdę z tej dziewczyny z Pensylwanii i nie szczędzili na to wysiłków. Oczywiście ona musiała im pomagać, do-

nie? Była klasycznym tworem Hollywoodu i nie wyszła poza jego schematy. Jej tragiczna śmierć dotknęła nabożeństwo jej czworo dzieci, które straciły bardzo kochającą je matkę. A świat, ci wszyscy, którzy ją podziwiali? Ci zrobili z jej porzebu jeszcze jedno widowisko, z tłumem żądnej wrażeń publikacji, która wybrała się na cmentarz niczym na piknik — często w szortach i z torbami pełnymi kanapek. (sz)

Opowiadanie
folklorystycznePoszedł
po rozum
do głowy

Był sobie raz biedny chłop. Miał mendel dzieci i żonę. Nie było co w chacie jeść, bieda piszczała po kątach. Co tu robić? Wybrał się niedzisz do lasu. Zbiera do koszyka grzyby. Im dalej w las, grzybów więcej. Zbiera grzyby i w paręje się za nimi pakuje i daleko się wawozem tym zasał. Aż mu zastąpiła drogę wielka góra. I wtedy słyszy gadanie. Patrzy z krzaka, widzi: zbroje. Uginają się im nogi pod worami. Nadstuchuje, zerka lepiej, ponad górą zbroje naraz postaneli i wołają: „Syngoro goro, otwórz się”. I góra się otworzyła. Weszli do góry gęsgo i bez worów nazad wyszli.

— „Syngoro goro, zamknij się”. Kiedy góra się zaparała, zbroje w gestwinie zniknęły.

— Złożyli jakiesi skarby — chłop pomyślał. — To i nierychto tu wróca. Niewiele myślący, stanął z koszykiem pod straszną górą i tak jak zbroje próbuje: „Syngoro goro, otwórz się!”. Góra mu się najposłuszniej otworzyła. Wlazł do środka, patrzy: pięknie jak w kościele! Jakoby była diamentami wybijana. A na dole pod ścianami kupy pieniędzy i skarbow! Nabral jednych, zagarnął drugich, ile tylko u nieś mógł, wyszedł z mieniącej się groty. Syngorze kazał się zamknąć i jak gdyby nigdy nie z siebie wyciągnął zajaka, a kiedy szedł koło stawu leśniczego — podebrał z matni szcupaka. A gdy wrócił do chałupy, babie powiedział, że ryby upolował z kiją w lesie, a zajaka złowił w stawie. Potem udał się do miasta i kupił obarzaneków, by je rozrzucić po polu. A gdy zakończył robotę z rozrzuceniem, poszedł na siano wyspać się.

Kiedy spał, baba zbadała, co do skrzyni rano wyspał. Jak to baba, wyaplała sąsiadom, że w lesie znalazł wielkie skarby. Doniosło się na policje. To policja przyjechała i zaczęło się badanie:

— Czy to prawda, że zdybaliście gdzieś w lesie wielkie skarby?

— Zdybał, zdybał — baba mówi — a było to już wtedy, gdy w stawie złowił zajaka, gdy szcupaka w lesie z kiją upolował i kiedy obarzanekowy deszczyk rosł.

Policja puknęła palcem babie w clemie, pewna była, że babsko kręcka dostała i chłopu, który się wyparł, że w lesie cokolwiek znalazł, dała spokój.

To ze skrzyni w komorze brał po trochu, a czasem ukradkiem poszedł do Syngory, by zapasy wyczerpane uzupełnić i tak w życiu z dziećskimi biedy więcej nie zaznał.

Opowiedział: TADEUSZ BATOR
z Gwoźnicy Dolnej pow. Strzyżów

Opracował: WŁADYSŁAW DŁUGOSZ



JOZEF STOPA — pracownik Domu Książki w Rzeszowie

Rys. JERZY SIENKIEWICZ

Kalman Segal

Ślady

Rozpoznaję niekiedy moje własne ślady na drogach i ścieżkach świata. Rozpoznaję i mówię do siebie: tu już byłem, to było wtedy i wtedy, miałem wówczas tyle i tyle lat, i tęskniłem — do kogo ja wtedy tęskniłem? Kogo wtedy kochałem? To było zimą, lub — latem to było, spałem w szopie na sromie, lub — spałem w zapluskwionym hoteliku, który stał w tym oto miejscu, a miłosierna kelnerka późną nocą przynosiła mi resztki jedzenia z kuchni.

Ślady — wciąż się po nich drepcze i wciąż się jeszcze znajduje jakiś zagubiony kamyczek, jakiś perełkę drogową, którą chętnie by się przytuliło do serca, gdyby to rzeczywiście był przedmiot namacalny, mający swoją materię i objętość. Lecz one są tylko iluzją, która zbliża nasz czas przeszły do dnia dzisiejszego.

Ślady: las, krzak owocującej tarniny, liście z drzew opadające w jesienią, strzęp chmury na niebie, uliczka pełna wyboi i śmiecia, stara kobieta robiąca na drutach, drewniany domek z oślepiłymi oknami, pejzaże — rąbki pejzaży, które namalował człowiek na strzępach własnej pamięci.

W głębi wspomnień, wciąż jeszcze tęsknimy do swego własnego odbicia w lustrze, stłuczonym wiele lat temu.

W sprawie zwierzeń

Najpierw kochamy i uczymy się zwierzeń lirycznych, najczulszych. Potem zdobywamy doświadczenie i opanowujemy sztukę dyskrecji. Wstydymy się zwierzeń, nawet najszerszych — właśnie tych najszerszych.

Zyczę Wam miłości skromnej, wytrwale milczącej.

Mój Boże, komu potrzebne są dzisiaj zwierzenia... Wystarczy przecież przyłożyć stetoskop do klatki piersiowej i posłuchać, jak tłucze się piskło o obskubanych skrzydłach.

— Pan jest trochę zakochany — mówi przystojna lekarka. — Pewnego dnia to minie...

Diagnoza całkiem wiarygodna.

Chciałbym tylko powiedzieć, iż wcale nie życzę sobie, by to pewnego dnia minęło. I jeszcze chciałbym powiedzieć, że jeśli chodzi o miłość, to...

— Dość! Unikajmy zwierzeń banalnych. Bądźmy dyskretni, dyskretni...

Jerzy Walawski

W autobusie napis: „Uczciwy pasażer płaci za bilet bez wezwania konduktora”. Wyciągam portmonek, wygrzebuje złoty pięćdziesiąt i uprzedzając wezwanie płacę. Na moje „dziękuję” po otrzymaniu biletu nikt mi wprawdzie nie odpowiada „proszę”, ale poczucie dobrze spełnionego obowiązku obywatelskiego i opinia człowieka uczciwego, daje mi niejaka satysfakcję. Siadam sobie i rozglądam się po wnętrzu wozu: drugi napis — „Jazda bez biletu jest przestępstwem”. Oto dzięki przedsiębiorstwu zajmującemu się komunikacją miejską w Rzeszowie dowiaduję się, że nie jestem przestępcą i jednocześnie, że mógłbym tym przestępcą zostać i to tanim kosztem, bo jadąc bez biletu.

Zaczynam odczuwać niezdrowe ciągoty — a może by spróbować? Jak się czuje człowiek w skórze przestępcy? Ludzie nie takie eksperymenty robili, może by jednak w następnym autobusie?

Trzeci napis: „Do stu złotych wynosi opłata za jazdę bez biletu” — coś tutaj nie gra, albo opłata, albo przestępstwo? Czy przestępstwo za marną „stówę” się opłaca?

Czwarty napis: „Uprawienia do przejazdów ulgowych należy okazywać bez wezwania konduktora”; piąty napis: „Pasażer powinien posiadać odliczoną gotówkę za bilet”...

Zaczynam rozumieć, to troska o człowieka, żeby konduktor się nie zmęczył wezwaniem o zapłacenie, prośba o legitymację upoważniającą do ulg, i broń Boże, liczeniem pieniędzy. Widać jak niesłychany wysiłek sprawia pracownikom MPK powiedzenie słowa „proszę”, jak niesłychanie męczą się kierowcy oczekując na nie dość szybko wsiadających pasażerów — jeżdżą,

Nie bajdurzyć!

bo za to im placą, ale trzeba ciężkich frajerów, żeby sami płacili za to, że im się pozwala jeździć...

Szesty napis: „Żądasz sprawnej obsługi — wsiadaj w kolejności”. Na kogo mam wsiadać, skoro jestem wewnątrz autobusu. Nic z tego nie rozumiem!

Siódmy napis: „Stanie na przednim pomoście wzbudzone pod karą” i po raz drugi to samo — dla należytego efektu. Pasażer powinien znać mores, jeżeli już wsiadł do autobusu, to niech przynajmniej ma piętra. Więc dalej na postrach, dziesiąty z kolei napis: „Wsiadanie do ruszającego autobusu grozi śmiercią lub kalectwem” i jedenaście: „Kierowco, zachowuj szczególną ostrożność przy przekraczaniu przejazdów kolejowych...” kiedy uswiadamiam sobie, że kierowca przed

Zdarzenia
tygodnia

Na zaproszenie Towarzystwa Łączności z Polonią zagraniczną „Polonia”, Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich oraz WDK, 29 bm. przybywa do naszego województwa zespół pieśni i tańca „Krakus” z Belgii (okręg górniczy Limburgii). Jego członkowie to w większości młodzież — dzieci polskich emigrantów. Po udanych występach w Zielonogórskim i Warszawskim zespole przedstawi swój program (ludowe pieśni i tańce belgijskie i polskie) mieszkańcom Tarnobrzega, Rzeszowa, Sędziszowa i Wielopola Skrzyńskiego w powiecie ropczyckim. Ślad uda się na dalsze tournée po Polsce (Kraków, Katowice, Opole, Wrocław, Poznań). Kierownikiem zespołu jest nasza rodaczka — Wanda Stala z Tarnobrzega.

30 lipca wyjeżdża do Koszyc 12-osobowa grupa działaczy kulturalnych z naszego województwa. Program ich 4-dniowego pobytu na Słowacji przewiduje m.in. zwiedzanie placówek kulturalnych, spotkania z tamtejszymi działaczami kultury.

W związku z 23 rocznicą Odrodzenia Polski eksponowana jest w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie wystawa afisza, plakatu i pierwszych druków wydanych przez PKWN po 22 lipca i po wyzwoleniu Rzeszowa.

WIDNOKRĄG
odpowiada

K. K. K. Wiersze niestety nie mają żadnej wartości. Jeśli Pan przestał pisać, nie warto od nowa zacząć. Chyba szkoda trudu.

„Rio”: Pańskie próby, poetyckie są dość bezbarwne i mało interesujące. Składają się na nie liczne wyliczenia, co stwarza monotonię konstrukcji i całkowity brak obrazowości. Nadużywa Pan pojęć abstrakcyjnych i to również wpływa na brak konkretności i realności wizji.

W. Z. — Rzeszów: Niestety, opowiadania nie są dobre. „Michalina” grzeszy nadmiernym sentymentalizmem i środkami ekspresji z literatury brukowej. Wizja przesuwanego się życia przed oczyma umierającej zamiataczki ulic i to jeszcze z panicznym na białym koniu, ojcem jej nieślubnego dziecka, jest objawem złego smaku, i wpływu powieści zeszytanych ze straganów. Opowiadanie „Sąd” jest pełne taniej publicystyki i kaznodziejskiego moralizatorstwa. To zresztą nie prasa, film, telewizja i zdjęcia aktorek w „Panoramie Śląskiej” są przyczyną przestępczości młodzieży. Sam Pan chyba w to nie wierzy. Z wierszy również nie skorzystamy.

J. W. — Przeworsk: Niestety, nie możemy odcyfrować Pana rękopisów. Czy nie mógłby Pan przysłać nam maszynopisu?

W. S. — Rzeszów, T. G. Czarna pow. Ropczyce, „Sońnica” — Jasło, I. S. Zalesie, pow. Lubaczów, „Oksirab”, „Robert Drwal”: Wiersze nie mają wartości artystycznych.

każdym przejazdem będzie czytał ten napis — cierpienie mi skóra na grzbiecie. Słyszę chrzęst swoich kości, wyobrażam sobie katastrofę i nad szpitalnym łóżkiem widzę kontrolera MPK, który robi mi „zym, zyg marchewka” i mówi triumfująco: „... a było nie jeździć, straszylimy jak mogli”.

Wsiadam z autobusu, mam dość, bo oprócz jedenastu napisów, które mnie o coś posiadają, pouczają, zakazują, nakazują, jest jeszcze olbrzymia tablica z przepisami porządkowymi dla pasażerów. Dowiaduję się z niej o tym, czego mi nie wolno, co mi nie przysługuje, za co mnie mogą ukarać, wyrzucić z autobusu, odebrać prawa pasażera, nie dowieź na miejsce, ale nie ma tam marnego słowa o zobowiązaniach przedsiębiorstwa w stosunku do mnie. Liczy się przedsiębiorstwo, ze swoimi domorosłymi pedagogami, ze swoimi interesami i brakiem interesów, ze swoją biurokratyczną machiną, przy której ja pasażer jestem niczym. Nadaje się wyłącznie do zabiegów wychowawczych, oczywiście ja mogę być wychowywany, bo nie „tabakiera dla nosa, tylko nos dla tabakiera”.

Więc ja, pasażer pozwalam sobie słowami mistrza K. I. Gałczyńskiego „zaznaczyć, że zarządzam, co następuje: nie wolno gramolić się, kałać, puścić, bajdurzyć, piędrzyć i gonić w piętkę” — pod karą ośmieszania się wobec pasażerów, miłe MPK!